CENA 20 ZŁ

W numerze: Edmund Osmańczyk »Historia Niemców«

Odra tygodnik

NUMER 24 (133) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 13 CZERWCA 1948 ROKU ROK IV

BIBLIOTEKA NAUKOWE POMOCE WYŻSZA SZKOŁA HANDLOWA GDAŃSKI

Rysunki wykonał Frantiszek Vrobel

JINDRZICH SPACZIL

Niech żyje wolność! Żegnaj wolności!

Pomieszczenia starodawnego Carolinum nabite studentami. Wielu w mundurach, z pistoletami za pasem, niektórzy opierali się na długich szablach. Hoskowiec z Krzepelką przedzierali się ku przodowi, gdzie miał ich już czekać prawnik Weis. Zaledwie jednak przedostali się nieco dalej, wystąpił na studencką mównicę dr Karol Sladkowski.

Przemawiał chwilami po czesku, to znów po niemiecku, gdyż zgromadzili się tu studenci obu narodowości. Cała zaś przemowa obracała się dokoła osoby praskiego komendanta, księcia Windischgrätza:

„Wolność, oparta na bagnetach, nie jest wolnością, lecz taką samą niewolą, jaką była era Metternicha. Sami dobijemy się porządku i ładu, nie trzeba pilnować każdego naszego kroku. Żądamy usunięcia dział z Wyszehradu i Pietrzyna. Przeciw komu są wymierzone? Kto tu zagraża porządkowi i spokojowi monarchii?"

— Precz z działami, usunąć działa! — wołają studenci.

— Czy wiedeńskie ministerium wie, co się dzieje w Pradze? — grzmiał dalej z zapałem Sladkowski. — Żądamy wydania studentom broni, by mogli bronić wolności i konstytucji! — Bracia, zachowajcie spokój i nie dajcie okazji do wystąpienia wrogom wolności. Każdy krok przeciw publicznemu porządkowi byłby pożądanym pretekstem dla zastosowania przemocy. Jeno zdrajca wolności i kraju ośmieliłby się dać taką szansę wrogowi.

Ciżba studentów szumi i huczy jak rój pszczół, który właśnie wyleciał z ula i szuka wygodnego miejsca do usadowienia się. Przemówienie Sladkowskiego spotyka się z burzliwym uznaniem:

— Broń należy się tym, którzy miłują wolność i bronią konstytucji — głosi cały studencki sejmik, zgromadzony w przepełnionej sieni starodawnego Carolinum.

— Wysłać deputację do wielkorządcy.

— Nie przyjmie nas! — wołają inni.

— Jeżeli nie przyjmie, wtedy wszyscy do wielkorządcy! — Okrzyki rosną. Ktoś woła mocnym głosem:

— Precz z Windischgrätzem! — Sladkowski wywołuje nazwiska osób, które mają uczestniczyć w deputacji. Jest między nimi i Karol Haisław Hoskowiec. Przewodniczącymi delegacji wybrano dr Sladkowskiego, dalej prawnika Jarosza, Bruna i Wodka. Zaledwie uciszyło się w auli, już studenci zgromadzeni w klatce schodowej, obwieścili przybycie burmistrza miasta Pragi Wanka z rajcą Boroschem. Zdążyli się oni dowiedzieć, co się dzieje w karolińskiej auli i pospieszyli po to, by odmówić studentów od wypełnienia ich zamiarów.

— Zarządzenia i postanowienia pana wielkorządcy uderzyły w fundamenty konstytucyjnego ustroju w monarchii — bronił się Sladkowski.

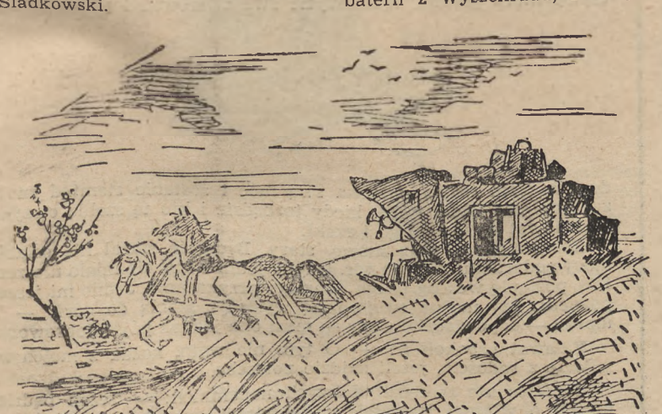

— Porządek i spokój niemniej leży na sercu naszemu zebraniu niż panu naczelnemu komendantowi — woła zapalczywie starosta zbrojnej korporacji Slavii. Krzyk się wzmaga, nikną w nim burmistrzowskie słowa.

Ale już i cała Praga kipi, jak studenci w Carolinum. Rzemieślnicy, chłopi w samodziałach — ulica wre jak przegrzany kocioł, a nad tym wszystkim stoją groźne bagnety Windischgrätza.

Burmistrz Wanka ciągle jeszcze paktuje ze studentami w Carolinum. — Rozum, miejcie tylko rozum w tej chwili!

Studenci nie dopuszczą się niczego, co by zagroziło porządkowi, przyrzeka Sladkowski, zgadzają się na wstrzymanie rozlepienia czerwonych ogłoszeń, na których widnieją w trzech punktach studenckie żądania. Wywiesi się je po powrocie delegacji od księcia Windischgrätza.

Aula Carolinum zamieniła się w obóz. Studenci stłoczyli się w ławkach, niektórzy rozsiedli się na podłodze i drzemali, oparci o ściany. Wielu z nich, zwłaszcza członkowie „Svornosti" i „Slavii" nie spali już kilka nocy z rzędu.

O pół do jedenastej dotarła deputacja do komendy miasta przy ulicy Celetnej. Hoskowcowa szabla pobrzękiwała o bruk ulicy, on zaś sam w czapce korporacji „Svornost" na głowie, kroczył przepełniony dziwnym, jak gdyby świątecznym uczuciem składającym się po trosze z odwagi i strachu. Oh, gdybyż go tak widzieli jego bliscy — rodzic i pani matka, kantor Lorec i panna Forbelska! Gdyby mogli choć na chwilkę być tu, w praskich ulicach i odczuć to samo, co on czuje w tym momencie. Rodzi się wolność w kraju. Czeska mowa wszędzie broni zwycięsko. Lud wzniósł swój sztandar wysoko. I ten szczęsny głos, którym przemówiła Praga, pójdzie po Czechach, pójdzie i po Morawach, i niedaleka jest chwila, w której uderzy i w bramy tego miasta, które leży ciche w środku Moraw, zastraszone i pełne lęku, gdyż jeszcze doń nie przeniknął prąd odrodzenia płynący z serca kraju.

Przed komendą miasta zatrzymała deputacja straż grenadierów.

— Zapowiedziano nas już u Jego Jasności — oznajmia Sladkowski.

Dowódca oddziału straży, miarowo, z pogardliwym uśmiechem na twarzy, wiedzie studentów długimi korytarzami w gmachu Namiestnictwa. Potem trzeba jeszcze czekać w ponurej sieni. Jego Jasność nie ma czasu. Minęła już spora chwila i dopiero, gdy zegar na Staromiejskim Rynku wydzwonił jedenastą, ukazał się oficer, który wprowadził delegatów do salonu namiestnika.

Książę Windischgrätz stał pośrodku sali, wysoki i chudy, w generalskim mundurze ze złotym kołnierzem, o twarzy żółtej jak pergamin, twarzy, w której w tej chwili nie drgnął ani jeden muskuł.

Deputacja podeszła bliżej i Sladkowski przeczytał petycję studentów głosem pewnym i uroczystym. Książę wpatrywał się martwym wzrokiem w jedno miejsce, zdawało by się zupełnie nie zainteresowany żądaniami studentów. Biło od niego chłodem i pogardą. Dopiero gdy Sladkowski odczytał trzy punkty petycji zatrzymały się przenikliwe oczy książęce na jego twarzy.

Sladkowski z naciskiem czytał: „Legie studenckie mają święty obowiązek uzyskać od generalnej komendy zgodę na następujące żądania: 1. Wydanie legii studenckiej 2000 rusznic i 80.000 ostrych ładunków. 2. Wydanie legii studenckiej jednej baterii z pełnym ekwipunkiem. 3. Wycofanie baterii z Wyszehradu, Pietrzyna i innych wzbudzających nieufność miejsc, na których były w nocy potajemnie ustawione".

Sladkowski urwał, twarz Windischgrätza była nieruchoma. Aż nagle, jakby ocknął się z ciężkiego snu, wskazał długim, kościstym palcem na krócicę tkwiącą za pasem Vodki, starosty Slavii.

— Czy... ta zabawka nabita? — rzucił ostro.

— Wasza Jasność może ją wypróbować na którymkolwiek z nas — odpowiedział Vodka, podając księciu pistolet.

Windischgrätz machnął przecząco ręką. Nastało przykre milczenie. Burmistrz praski, który przyprowadził deputację, próbował wytłumaczyć komendantowi naczelnemu, że lud Pragi wzburzony jest w najwyższym stopniu stanem wojennym w mieście i domaga się odwołania niektórych zakazów ze względu na spokój i bezpieczeństwo publiczne.

— Cesarz mnie postawił na to miejsce i jeno przed nim czuję się odpowiedzialny — rzekł lodowato Windischgrätz. — Nie pozwolę się ani zastraszyć, ani sobie grozić. Zobaczę, co z tego wyniknie i wypełnię wtedy swoją powinność.

Było po audiencji. Studenci, wracając długimi korytarzami, byli zalęknieni i złej myśli. Jakby już czuli się uwięzieni w szponach olbrzymiego ptaka, który z rozpiętymi skrzydłami i dwiema posępnymi głowami strzegł wejścia do głównej komendy. Lecz zaledwie wyszli na słoneczny dzień i usłyszeli gwar tłumów przewalających się u bramy Prochowej — prysnął ich ponury nastrój.

— Tu jest siła, krew, burza, życie — przemówił pierwszy Hoskowiec. — Tam za nami przeszłość, pokryta kurzem i lodem. O kogo się tedy oprzemy? Rzeknijcie, przyjaciele?

Sladkowski ścisnął mu rękę w milczeniu. I pojaśniała mu twarz, gdy połączyli się z nurtem ludzkim niosącym ich ku Staromiejskiemu Rynkowi. — Masz rację, przyjacielu. Z gruzów metternichowskiego absolutyzmu nie może wyniknąć wolność. Może nam ją dać jeno żywy, natchniony naród!

— o —

Letni świt owego zielonoświątkowego poniedziałku, 12 czerwca 1848, rozpostarł nad Pragą, jasne blaski słonecznego poranka. Tu luzowały się nocne warty, a studenci dźwigali się z twartych ławic, na których przedrzemali godzinkę czy dwie; przypasywali znowu szable, nasadzali na głowy związkowe kaszkiety i ruszali w ulice, które ścichły tego dnia zaledwie od dwu czy trzech godzin.

Sławny dzień; rzadki dzień! Obrady sejmu słowiańskiego zbliżały się do owocnego końca. Na Końskim Targu odprawiona zostanie uroczysta msza, to się rozumie, pod gołym niebem, u statuy św. Wacława. W ulicach tłumy od samego rana, ale wyjścia z miasta roją się od grenadierów. — Na co? Po co? Czyżby konstytucji groziło niebezpieczeństwo? — pytają ludzie.

Hoskowiec i Krzepelka mieli nocną służbę w Kolowrackiej dzielnicy przed muzeum. Noc była piękna i ciepła. W nich serca roztajały i poszybowały ku tym miejscom, gdzie na nie najsłodsza czekała osłoda.

— U nas zacznie się dziś królewskie strzelanie do tarczy. Pan komendant Bractwa Kurkowego już od rana maści i podkręca wąsy, by były ostre jak dwa haczyki!

— A Szymszalek, pamiętasz Karolku, jakeśmy mu dzwonili w dzwonek alarmowy i uciekali szybko za bramę browaru miejskiego?

— A gdy zaczął z wieży ratuszowej wymyślać, wtedy przykładaliśmy dłonie do ust i wrzeszczeliśmy ku górze, naśladując Szymszalka: „Zabiła babula kaczora, dała dziadulowi karrr — rrrr — karrrk!"

— Oh, ten Szymszalek! — wspomina Krzepelka. — Taka osobliwa, jak z drzewa wystrugana figurka. Ale o miejskie zegary stara się pierwszorzędnie. Mówią, że jak ktoś przyjeżdża do nas z Wiednia, to goni zaraz do niego i wypytuje, jaki czas wskazuje Stefansturm, by podług tego naregulować miejski zegar.

I właśnie dlatego wszystko się u nas spóźnia. Jakby tak się bliżej przyjrzeć, to Szymszalek rządzi miastem według Stefansturmu. Może kiedyś, gdy wrócimy do domu, przywieziemy z sobą czas czeski, mierzony według wieży św. Wita.

— Nawet nie myśl o tym — westchnął Hoskowiec. — Obawiam się, że nie znajdziemy łaski w pana burmistrzowych oczach i będziemy błądzić światami, jak wygnańcy — Hoskowiec skrzywił się przy tym, uśmiechając się ironicznie.

— Burmistrz powinien przywrócić kaźń na górze Stracenia, na Barbaraberku. Wyobraź sobie, jakby było romantycznie, gdyby o rannym brzasku, wśród kras majowej przyrody, wiedli delikwenta Hoskowca, aby „uda jego wplecione były w koło, a czaszka wbita na kół". — Hynku, Wilemie, Florciu — śmieje się Krzepelka.

— Przestań pleść głupstwa — broni się Hoskowiec. Ponoć i za tobą płakałaby jakaś główka, która gdzieś w tej chwili spoczywa i ma włoski nawinięte na papilotach.

— Nie wiem, kto by to taki mógł być — mruknął tym razem jakoś ciszej Krzepelka.

— Panna Netty Lehman. — No, co powiesz na to?

— Et, dałbyś już spokój i pomyśl lepiej, czy uda nam się dostać do domu na wakacje.

— Ja już wakacji mieć nie będę. Gdybym tylko sobie poszukał posady. Już przecie powinien być ze mnie aplikant. Ach, szkoda, że się to wszystko już kończy. Ja bym wnet zaczął od nowa.

— To by się na ciebie naczekała panna Forbelska. Idź do diabła, to już lepiej powiesić to wszystko na kołku.

Nad Pragą zaczyna świtać. Atramentowo-ciemne niebo, jeszcze pełne gwiazd, blednie; powietrze zaczyna już drgać, a gdy nad karbowanymi dachami przeleciał pierwszy wietrzyk, ozwały się od ogrodów i ptaki. — Z porannej szarości występują wpierw wieże, wydające się podwójnie wielkie w tym błękitnym jeszcze doświcie. Brama Prochowa, wieża Tyńska, Clementinum.

Jeszcze nim się rozjaśniło, zjawił się pierwszy wóz ciężarowy, zmierzając do Porzyckiej Bramy.

— Zdało by się teraz zdrzemnąć o 10 mamy zebranie w Clementinum, a potem uroczysta msza na Końskim Targu.

Studenci idą wolnym krokiem ku auli swej almae matris.

—o—

Po godzinie dziesiątej wyruszył z dziedzińca starodawnego Clementinum pochód studentów. Przewijał się uliczkami Starego Miasta jak olbrzymi pstry wieniec, pełen barwnych czapek, czamar i pantalonów. Czasem szabla zadzwoniła o bruk, a w chwili, gdy pochód przewalał się koło muzeum w dzielnicy Kolowrackiej, buchnęła nad tłumem z tysiąca gardzieli pieśń: „Hej Slovane!" Na cześć słowiańskiego sejmu i jego sławnych uczestników.

— Kromieryżcy studenci szli w pierwszych szeregach. Najpierw Hoskowiec z Krzepelką, za nimi Weis. Przez pierś przepasani czerwono-białymi szarfami, na bluzach błyszczały kokardy o barwach słowiańskich.

— Sława, niech żyją uczestnicy sławnego zjazdu! — wołali studenci, mijając gmach muzeum.

— Niech żyje zgoda i wolność Słowian!

— Niech żyje Palacki i Szafarzyk!

— Czołem, gościom słowiańskim!

Pochód studentów doszedł już do Końskiego Targu. Tutaj, dokoła starodawnej rzeźby św. Wacława, tysiące głów. Z góry, od Końskiej Bramy walą zastępy drukarzy z fabryk perkalu. Było ich dobre dwa i pół tysiąca. Studenci z robotnikami wymieniają pocałunki braterstwa, skoro tylko oba pochody się zetknęły. Mieszczanie, kobiety, okoliczni chłopi w wiejskich strojach, wszystko to wre, huczy, kipi — aż, podobnie jak wtedy, gdy wiatr trącający z początku wszystkie kłosy, rozkołysze zwolna całe pole falujące zbożem — tak cichnie powoli tłum, gdy stareńki miletyński proboszcz, Jan Edward Arnold wstępuje ku ołtarzowi.

— Chciałbym całe nasze rodzinne Morawy wziąć w tej chwili w dłonie i przenieść je na mgnienie tu, do tego źródła siły i wolności, — szepnął Hoskowiec Krzepelce, a w oczach zamigotały mu łzy. — Tu już stoi przebudzony naród, mocny i kwitnący a tam, u nas — jeszcze ciągną kwietniowe chmury i zakrywają słońce.

— Dojdzie to do każdej krainy, nie martw się o to — szepnął Krzepelka.

— Rozbłyśnie w każdym świątło poznania, toć przecież u nas nie umarło nasze poczucie narodowe, jeno śpi.

— Kantor Lorenc sam nie da sobie rady tam u nas. Pisała mi Tininka, że burmistrz spode łba na niego patrzy i gdzie może tam szkodzi.

— Są tam jeszcze i inni, którzy stoją mocno na nogach. Porazek, Wesnicki, adwokat Lachnit, cały szereg mieszczan; — nic się nie bój, sam czas zmyje z tych wstecznickich łbów ich modną niemiecką farbę.

Hoskowiec jednak milczał już przez resztę mszy. Tylko drżało mu serce od jakiejś cudnej boleści, której nigdy dotąd nie odczuwał.

Nagle, od ołtarza buchnęła pieśń! Niosła się coraz dalej i dalej, aż wreszcie rozdzwoniła się nią cały przestwór. Śpiewał ją tłum, potężnym, wspólnym głosem i ustami:

„Święty Wacławie!..."

Zakołysały się tysiącogłowe zastępy, gdy proboszcz Arnold skończył mszę. Znowu rośnie szum, rozbrzmiały radosne głosy, gdy ludzie poczęli się ustawiać w olbrzymie kolumny. Pod figurą św. Wacława studenci składają przysięgę na wierność wolności, krajowi i konstytucji.

Tłum rozlewa się dwiema falami. Jedna zmierza ku Mostowej Baszcie, druga przez Bramę Prochową i Celetną ulicę na rynek Starego Miasta. Z nią ciągną Hoskowiec, Krzepelka i Weis, obejmując się w pasie i dając się unosić prądowi, pieśniom, okrzykom i temu potężnemu uczuciu radości, w którym wolność kraju zjawia się tak blisko: na odległość ręki.

W Celetnej ulicy, przed Generalną Komendą, wre jak w olbrzymim kotle. — Ktoś z tłumu krzyknął w stronę wojskowej warty i w tej chwili, nie wiadomo dlaczego, rzuciły się na tłum zastępy grenadierów z najeżonymi bagnetami. Huknęło kilkanaście strzałów, jacyś ludzie upadli na ziemię, tłum przewalił się po nich. Zabrzmiały groźne okrzyki:

„Zdrada! — Wojsko nas morduje! — Krew się leje!"

W Celetnej ulicy wybuchła nieopisana panika. Grenadierzy torują sobie drogę i prą olbrzymi tłum, depcąc rannych — a od Bramy Prochowej walą nowe zastępy, które jeszcze nie wiedzą co się dzieje w śródmieściu.

— Stawiać barykady! — Prażanie, na barykady! — krzyczą tłumy. Do tego warkot bębnów, narzekania, jęki rannych, salwy karabinowe i dźwięki dzwonów ze staromiejskich kościołów.

— Niech zginie Windischgrätz, precz z Windischgrätzem!

Rośnie straszliwa wrzawa i narzekania. Zda się, nadszedł sądny dzień. Student Weis zgubił się w tłoku. Krzepelką i Hoskowcem tłum miota we wszystkie strony. Już nikt nie mógłby powiedzieć, co się stało, kto dał hasło buntu.

— Trzeba pędzić do Clementinum — krzyknął Hoskowiec, prąc ku przodowi. Z tyłu, od generalnej komendy, huknęła salwa z rusznic. W uliczkach dokoła rynku na Starym Mieście ludzie wyrywają już kamienie brukowe, wynoszą z domów beczki, skrzynie, przewracają wozy, a od Celetnej ulicy runęły, jak burza okrzyki:

— „Na barykady!"

Przed Hoskowcem upadła jakaś starsza kobieta. Student pomógł jej wstać, ale w tejże chwili tłum uniósł Krzepelkę. Zniknął, jakby go porwał huragan. Hoskowiec przesmykiwał się uliczkami i zaułkami Starego Miasta ku Jezuickiej ulicy i dalej, w stronę Clementinum.

W kościele Zbawiciela uderzono w dzwony na trwogę. Kiedy Hoskowiec dobiegł na plac Krzyżowników, komendę tu objął już młody Józef Frycz, siedzący na koniu, w mundurze „Slavii", w czapce związkowej na głowie. Wzbudzał respekt, którego tu w tej chwili było trzeba najwięcej. W baszcie Mostowej rosła już barykada. Studenci wyrzucali oknami ławy z sal wykładowych wydziału filozoficznego, rozrzucali bruk i ustawiali zeń wysokie zapory. Patrol grenadierów, który dostał się tu Bóg wie skąd, — rozbrojono, a broń ich powędrowała wnet ku Mostowej wieży, na rosnącą barykadę.

Hoskowiec wbiegł na pierwsze piętro Clementinum. Studenci znosili tu brukowe kamienie i tarasowali okna wychodzące na plac Marianski. W tej chwili patrol studencki z ulicy Jezuickiej przyprowadził prezydenta gubernialnego, hrabiego Leona Thuna, który został ujęty w chwili, gdy usiłował przedostać się przez barykadę ku rynkowi Staromiejskiemu. W Clementinum nastąpiło z tego powodu poruszenie. To już nie były żarty, rewolucja stanęła nad miastem.

Studenci, przybywający z śródmieścia, wołali, że książę Windischgrätz opanował Carolinum i że wojsko podchodzi ku barykadom. Rusznice grzmiały już bez przerwy, z Pietrzyna ryknęły działa. Zatrzęsły się okna Clementinum od uderzenia tej burzy.

— Zdaje się, że jesteśmy odcięci — wołali niektórzy zalęknieni studenci. — Bóg z nami!

— Tylko nie popadać w zwątpienie — krzepił ich Hoskowiec. Mamy tu zakładnika w osobie gubernialnego prezydenta, wojsko nie odważy się na atak.

— Na odwrót, tym silniej będą napierali, aby go wyswobodzić.

Na dworze, na placyku Krzyżowników, zatarasowanym dokoła barykadami, panowało niezwykłe poruszenie. Nadchodziły niedobre wieści o tym, że wojsko zdobyło barykady w Nowych Alejach i że uderzy wzdłuż biegu rzeki, na Clementinum. Frycz wezwał studentów na naradę. Trzeba było pchnąć kogoś uliczkami w kierunku Nowych Alej, dla zbadania sytuacji. Zgłosił się Hoskowiec. Uścisnęli sobie z Fryczem ręce i student ruszył w niebezpieczną drogę.

Huk nad miastem nie ustawał. W zaułkach, kiedyś cichych, błądzili jeszcze ludzie, jakby bez celu i opowiadali straszliwe rzeczy. Ponoć na głównych ulicach leżą ranni, a wojsko nie pozwala ich zabrać. Na niektórych barykadach walczą Franciszkanie, lecz nawet przed nimi nie zatrzymuje się zwyrodniała soldateska. Ludzie, którzy nadbiegli z Węglowego Targu, donieśli, że zabito księżnę Eleonorę Windischgrätz, żonę komendanta naczelnego. Stąd ten krwawy odwet. I tak jeden przez drugiego, a każdy z nich widział coś z tego na własne oczy.

Hoskowiec biegł w kierunku Pernsztynu. Tędy będzie się można prześlizgnąć ku Nowym Alejom i sprawdzić wszystko własnymi oczyma. Tak pięknie zaczął się dzisiejszy dzień, spoczęło na nim przecie błogosławieństwo całego kraju i nagle, jakby zwaliła się burza gradowa, która rozproszyła cały Boży urodzaj. Rządzi Windischgrätzowa soldateska. Ludzie przeciwstawili się jej; mają

pełne prawo do tego. — Wolność kraju nie spadnie do podołka, jak dojrzały owoc, trzeba bić się, narazić życie! — Gdzież zostali druhowie Krzepelka i Weis?

Hoskowiec dostał się tylnym wejściem aż na obszerny dziedziniec Platyzu. — Zaledwie się tu jednak zdążył rozglądnąć, wyłamano z zewnątrz ciężkie wrota i oddział grenadierów wpadł do środka.

— Poddać się, ręce do góry! — Krzyczeli dziko grenadierzy.

Hoskowca, zanim zdołał się poruszyć, rzucono na ziemię, bijąc go kolbami karabinów.

— A to jeden z tych ze „Svornosti"? — zdrajca cesarza i państwa!

— Państwo zdradzili ci, którzy odbierają narodom wolność! — krzyknął Hoskowiec, ale ugodził go nowy cios kolby. Żołnierze złapali go i ciągnęli przez Platyzski zaułek ku Nowym Alejom. Tu zaś dokoła — spustoszenie. Rozbite barykady, bruk poplamiony krwią, szkło, beczki, ławy, poprzewracane wozy, wszystko to wala się po ulicy, a domy stoją ciche, jakby w nich nie było żywej duszy. W dali, od Wełtawy grzmią armaty i huczą strzały z rusznic. Hoskowca ciągną do „Niebieskiej Gwiazdy", gdzie zgromadzono jeńców. Straż wiedzie go przez te miejsca, którędy przed kilku godzinami szedł radosny tłum, weselący się z przepięknego dnia i z wolności, która już zdała się być w odległości wyciągniętej ręki.

— Co teraz będzie — pyta sam siebie z niepokojem student. Żeby choć tu był Krzepelka z Weisem, żeby zawiadomili dom. Ach, — dom! — Tam, gdzieś daleko, święcą teraz największe święto w roku Królewskie strzelanie do tarczy. Pewnie i panna Florentyna z rodzicami i panią matką przygląda się temu. Koniec pięknych dni! Tam w domu uniknęły one burmistrzowskiej zemsty, tutaj czeka je Windischgrätzowe więzienie.

Koło „Niebieskiej Gwiazdy" formuje się do ataku chorągiew łowiecka i szwadron pułku huzarów. Czasem stuknie o mur wyższego piętra domu, zbłąkana kula. Dzwony biją, ale gdzieś daleko, pewnie na drugim brzegu Wełtawy, na „Małej Stranie".

Studenta Karola Haisława Hoskowca, związanego, wiodą z kilkoma nieznanymi ludźmi, wzięty tymi do niewoli na barykadach, do aresztu w koszarach jazdy.

Nad Pragą zapada zmrok, ale natężenie oddalonej bitwy ani na chwilę nie opadło. Armaty grzmią ze wszystkich stron, a od Wełtawy ciągną w miasto gęste dymy.

Hoskowiec jeszcze zdążył uwięzić w oczach złocistą poświatę wieczornego nieba, a potem zapadły za nim ciężkie wrzeciądze wojskowego aresztu, przepełnionego w tej chwili wszelakiego rodzaju ludźmi.

— Żegnaj, wolności! — szepnął, zanim jeszcze spojrzał w oczy mrokowi, w który wstępował.

Jindrzich Spaczil

Z czeskiego tłumaczył
ALEKSANDER BAUMGARDTEN

— Ach, Herr Doktor, nigdy już nie będziemy dostawali tak cudnych zwłok, jakie dostarczano nam za czasów Hitlera.

Rys. Karl Holtz (Ulenspiegel)

EDMUND OSMAŃCZYK

Historia Niemców

Edmund Osmańczyk w artykule poniższym dorzuca jeszcze jeden cenny argument do dyskusji na temat rodowodu hitleryzmu. Omówienie książki „Historia Niemców", będące treścią poniższego artykułu, stanowi dla nas doskonałą konfrontację z powojenną myślą niemiecką, jak widać niezbyt odrodzoną.

I.

Berlin, w czerwcu 1948 r.

Twarde to słowa, a jednak je wypowiem, jako, że prawda w nich zawarta jest: — nie znam narodu, który by bardziej rozdarty był w sobie niż Niemcy. Ujrzysz rzemieślników, lecz nie ujrzysz ludzi, myślicieli, lecz nie ludzi, kapłanów a jednak nie ludzi, panów i parobków, młodych i dojrzałych, a jednak nie ludzi — czyż nie jest to obraz pobojowiska, na którym porozrzucane leżą z osobna ręce i ramiona i wszelkie członki, a krew życiodajna spływa w chłonny suchy piasek".

„Mówię ci, nic nie ma świętego, co by w tym narodzie nie straciło świętości, zduszone do nędznego przydatku. Twoi Niemcy pozostają najchętniej tylko przy tym co użyteczne, co konieczne i stąd u nich tyle tępoty w pracy a tak mało wolności i radości."

Tak pisał o swym narodzie wielki poeta niemiecki Friedrich Hoelderlin. Przypomniały mi się te słowa, kiedy przeczytałem, 796 stron liczące tomisko, wydane w grudniu 1947 roku w Pontes-Verlag w Berlinie pt. „Geschichte der Deutschen". Autorem tej pierwszej po wojnie ogłoszonej historii jest zmarły przed rokiem prof. Veit Valentin, Naczelny Archiwariusz Archiwum Rzeszy w latach 1920—1933, zwolniony z tego stanowiska przez narodowych socjalistów za zbyt liberalne poglądy, poczem zaproszony na wykładowcę historii niemieckiej przez Uniwersity - College w Londynie (1933—1939), później zaś, przez lata wojny, wykładający w Institute of Internationale Education w Nowym Yorku. Z wykładów na anglosaskich uniwersytetach powstała ta oto „Historia Niemców", wydana najpierw po angielsku w Nowym Yorku w roku 1946 a dopiero rok później w oryginale niemieckim w Berlinie. Mamy więc do czynienia z książką, której zadaniem było wytłumaczenie opinii anglosaskiej przyczyn hitle-

Nie odejdziemy ze wschodu, choćbyśmy mieli oddać za to niejedną część zachodnich Niemiec. Na zachodzie wygasła już walka, na wschodzie trwać będzie wieki. (Bismarck)

ryzmu, przyczyn barbarzyństwa, które dla świata anglosaskiego było niepojęte w zestawieniu z kulturą narodu niemieckiego. Nim książka ta znajdzie fachowego krytyka spośród historyków polskich, pozwolę sobie, jako uparty tropiciel „rodowodu hitleryzmu" zapoznać czytelników polskich z pewnymi tezami Valentina i z pewnymi charakterystycznymi przemilczeniami.

„Trudno jest pojąć historię niemiecką" — tak rozpoczyna swą opowieść Valentin. „Stąd też trudno jest ją opisać. Dlaczego? Gdzieś w Europie Środkowej leżą Niemcy. Jakiekolwiek ściślejsze określenie bardziej zmąci obraz niż cokolwiek wyjaśni. Niemcy posiadają granice wahające się i ruchome, jak żaden z innych krajów."

„Historycznie rzecz biorąc, czysto przypadkowe momenty ustalały granice Niemiec i zawsze tylko na czas krótki. Zabory, kolonizacja, spadkobierstwo, podziały, kupno, zamiany, oto co wpływało na każdorazowe przesunięcia granic. Często granice były zaprzeczeniem geograficznych dziedzin i gospodarczych interesów."

„Ren i Wezera wraz z innymi przypływami skazywały obszar ten na kierowanie się ku zachodowi i północnemu zachodowi. Dunaj ze swoimi dopływami łączył południowe Niemcy z obszarem alpejskim i Bałkanami, stąd ta część Niemiec dążyła uparcie do Śródziemnego Morza. Łaba z kolei łączyła i dzieliła północny zachód o starej kulturze z kolonizowanym północnym wschodem. Odra i Wisła nakoniec, obie rzeki wywodzące się ze słowiańskich krajów, narzucały geopolitycznie północnemu wschodowi i wschodowi swe szczególne zadania, swój uczuciowy krąg działania, odwrócony od zachodu, za to ze wzmożoną energią współzawodniczący z basenem naddunajskim. Poza polityczną wolą nie było niczego, co by mogło utrzymać razem te sprzeczne w sobie obszary Europy Środkowej."

„Kraj niemiecki potrzebował wielu wieków, aby stać się niemieckim, a nie czymś innym. Taksamo niemieccy ludzie potrzebowali wiele czasu, by stać się niemieckim narodem. Germanowie nie byli Niemcami, tak jak Niemcy nie są Germanami. Zaledwie maleńka część Niemców wywodzi się z plemienia germańskiego. Naród niemiecki wywodzi się z następujących czterech plemion: resztek przedindoeuropejskiej ludności, Celtów, Germanów i Słowian. Do tego doszła dalsza domieszka „Rzymian", Skandynawów, Litwinów a do XVIII wieku Żydów i Francuzów (Hugenocka emigracja)."

„Niemcy posiadają więcej granic, a tym samym i sąsiadów, aniżeli jakikolwiek naród europejski. Mieszkańcy pogranicz posiadają często więcej podobieństw ze swymi sąsiadami, niż z Niemcami wewnątrz kraju ... Tak np. Niemcy Sudeccy i Czesi, Wschodni Niemcy i Zachodni Polacy są spokrewnieni ze sobą (Blutsverwandte) a stąd znają się dobrze i nie cierpią się wzajemnie."

„Żaden wielki naród europejski nie składa się z tak wielu różnych elementów, jak naród niemiecki." Stąd sprzeczności.

„Okazało się, że Niemców można zmusić do jedności tylko przeciwko wewnętrznemu lub zewnętrznemu nieprzyjacielowi."

Nowa maszyna do oczyszczania ulic. Satyra „Fliegende Blätter" na niemiecką ruchawkę roku 1848.

„Etniczna różnorodność Niemców jest przyczyną ich najlepszych i najgorszych cech."

Stąd: „dualizm między Wschodem a Zachodem, między protestantyzmem a katolicyzmem, między luteranami a reformatami, między Prusami a Austrią, między patriotyzmem Rzeszy a niemczyzną kolonizatorską, między mistyką a scholastyką, nacjonalizmem a wiarą, szlachtą a mieszczaństwem, cywilami a wojskowymi, biurokracją a opinią publiczną, kapitałem a pracą. Wszystkie te konflikty w historii niemieckiej wymagały opanowania. Zazwyczaj szukano na to sposobu w postulacie panowania (Niemców), pojętego jako misja ..."

„Naród niemiecki jest wewnętrznie rozdartym szczęśliwie-nieszczęśliwym narodem."

„Niemcy nie byli nigdy przyjemnymi, spokojnymi sąsiadami. Nie pragnęli aby ich lubiano, nie mieli zresztą szczególnych talentów, aby móc uczucia takie wywoływać. Poszczególni Niemcy mogli być pewni uznania a nawet podziwu całego kulturalnego świata. Naród jako całość w rozwoju ostatnich wydarzeń stawał się coraz bardziej przedmiotem sporu ... Jest to najbardziej problematyczny naród naszej epoki."

II.

Nie jestem w stanie w sprawozdawczym artykule zacytować z 796 stron tekstu wszystkich charakterystycznych ocen, ani nawet tylko tych, które odnoszą się do Polski. Z tych ostatnich przytoczę kilka, nim powrócę do dalszego cytowania ocen rozwoju narodu niemieckiego.

Rozdział o pierwszym rozbiorze Polski kończy się słowami:

„Nikt nie będzie przemilczał, lub lekceważył ciężkich politycznych błędów samych Polaków. Niemniej. rozpoczynający się ucisk polskiej narodowej samodzielności stał się prawdziwym nieszczęściem przyszłych dziejów niemieckich. Partnerzy gwałtu, oba niemieckie mocarstwa (Prusy i Austria) wraz z Rosją, czuli się zmuszeni wobec polskiego oporu do tworzenia wspólnoty współwinnych. Tak powstał front wschodnio - europejskiej, antynarodowej, antydemokratycznej polityki siły."

„Po kongresie Wiedeńskim nikt nie miał wątpliwości, co do tego, że w rzeczywistości dokonano nowego rozbioru Polski, a podział ten w ten sam sposób jak poprzednie był obciążeniem i związaniem dla mocarstw rozbiorczych."

Ten osąd o rozbiorze pierwszym i o Kongresie Wiedeńskim (1815)

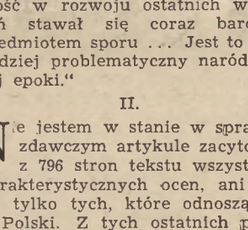

Niemcy to naród chory, ale choroba ta najczęściej zwać się może: wielkość. (Nietzsche)

jest warty zapamiętania dla porównania go z osądem Traktatn Wersalskiego:

„Traktat pokojowy Wersalski był dyktatem mocarstw zwycięskich. Traktat ten oznaczał koniec polityki wilhelmowskiej, odbierał Niemcom posiadłości zamorskie oraz flotę. Więcej jeszcze: traktat niszczył popularne zdobycze Rzeszy Bismarcka, odcinał kraj Rzeszy (Reichsland)-Alzację-Lotaryngię od Rzeszy. Idea rewanżu zwyciężyła. Francuska polityka zagraniczna mogła triumfować, osiągnąwszy cel dziesiątków lat pracy. Utrata Alzacji i Lotaryngii została w Niemczech przyjęta stosunkowo dość spokojnie, tym więcej, iż z tą upartą ludnością pogranicza, przechodzącą do obozu zwycięzcy z wysoko wzniesionymi sztandarami, zbyt gorzkie miano doświadczenia. Mimo, że kolonie niemieckie nigdy właściwie popularnymi nie były, ich całkowita strata połączona z załamaniem się całej potęgi morskiej, podziałała bardzo przygnębiająco. Lecz więcej jeszcze: granice Niemiec ustalone na nowo były bardziej niekorzystne niż w roku 1815 (!). Najwięcej ucierpiało państwo pruskie, które — za wyjątkiem drobnych grup — utraciło wszystkich swych obcojęzycznych poddanych. Granica północnoszlezwicka, granica belgijska, granica górno-śląska zostały na nowo ustalone — za każdym razem na niekorzyść narodowości niemieckiej. Wszyscy obywatele Republiki Weimarskiej za wyjątkiem nielicznych grup byli pochodzenia niemieckiego — natomiast poza nowymi granicami żyły dziesiątki tysięcy mówiących po niemiecku ludzi, wtłoczonych w obce organizacje państwowe. Polska i Czechosłowacja posiadały silne mniejszości niemieckie. Odbudowa niepodległego państwa polskiego po złym bezprawiu rozbiorów była niewątpliwie koniecznością europejską. Niemcy same uczyniły pierwszy krok w tym kierunku. Lecz ciężkim błędem było odcięcie Prus Wschodnich, do morza sięgającym polskim korytarzem, od całości Rzeszy. Niemiecki Gdańsk znów był wolnym miastem. Co prawda ludność korytarza była w większości polską, niemniej można było drogą wymiany ludności znaleźć rozwiązanie, będące dla obu stron do przyjęcia."

„Dla państwa o tak wielkich tradycjach wojennych, jakie posiadały dotychczas Niemcy, kierowane przez Wielkie Prusy, ograniczenia przyszłych niemieckich zbrojeń, były szczególnie poniżające. W klasycznym kraju powszechnej służby wojskowej zezwolenie na stutysięczną tylko armię było czymś sprzecznym w sobie. Państwa zwycięskie nie liczyły się z tym, że ta właśnie

(Ciąg dalszy na str. 3)

PAWEŁ BAŻOW

Podarunek

Ej, bo trudną też bywa sprawą rozpoznanie, gdzie kończy się to, co stare, a zaczyna, co nowe. Bywają rzeczy, o których wydaje się że powstały dopiero wczoraj, a tymczasem wymyślili je już dziady i pradziady. Jak się w nich wyznać? U nas w zakładzie zdarzyła się oto rzecz następująca. Nasi hutnicy postanowili wykonać jako podarunek dla najznakomitszego męża naszego kraju szpadę. Każdy starał się oczywiście wymyślić coś najlepszego i nie obyło się bez kłótni. W końcu jednak wymyślono coś, co wszystkim przypadło do serca i co wszystkim wydało się nowością. Stary majster pochwalił projekt, kiedy mu wyjaśniono, jaki kształt ma mieć szpada, jak ma być wypracowana głownia, jak wycyzelowana, a potem takie wypowiedział zdanie:

— Gdybyśmy nitkę snuli do końca, natrafilibyśmy na pewną starą bajkę. Nie wiem tylko dokładnie, czy jest to bajka baszkirska czy ruska.

Jeżeli o to chodzi — zgadza się — w tym względzie panuje u nas powszechnie pomieszanie pojęć. Często pamięta się w ruskiej rodzinie o ciotce Fatimie, a w baszkirskiej napotkać można niespodzianie na którąś z naszych Masz-Natasz. Otóż to, od bardzo dawna bowiem Baszkirowie pracowali razem z Rosjanami w hutach, ramię przy ramieniu machali kilofami w kopalniach i szybach. Sprawa więc przedstawia się tak, że nic dziwnego, jeśli pieśń i słowo, a także i krew pomieszały się. Na pierwszy rzut oka trudno powiedzieć, skąd co pochodzi. Jesteśmy już do tego przyzwyczajeni. Nikt nie dziwi się. Zapytano go jednak, jaka to bajka. Stary majster nie dał się długo prosić.

— Było to — zaczął — jeszcze w tym czasie, gdy jako mały chłopiec przybyłem do huty. Od tego czasu minęło już chyba pół wieku.

W oddziele, gdzie broń otrzymywała ostateczne oszlifowanie i ozdoby, nastąpiło nagłe zakłócenie spokoju. Złotnicy coś tam przeoczyli, na skutek czego zielone kłęby wydzielanego z kwasów gazu w takiej ilości napełniły halę, że wszyscy czym prędzej wypadli na powietrze. Ludzie kasłali i kichali, potem odzyskiwali oddech i gotowali się do chwili wytchnienia. Jedni skręcali sobie papierosa grubości palca, inni fajkę napychali tytoniem, jeszcze innym sprawiało przyjemność wpatrywanie się po prostu w bladoniebieski dzień. Wszyscy pousiadali, jak tam komu wypadło i zaczęli rozmowę. Mieliśmy wtedy pewnego rysownika: nazywał się Perfisza. Nie umiał on zbyt wiele, ale był bardzo porywczy i gdy tylko zauważył u kogo jaki błąd, prychał jak nikt. Z tego powodu nazywano go też Perfiszą-prychałą.

On też był tym — jeszcze to sobie przypominam — który zaczął mówić. Najpierw zaczepił złotników, ale wnet przekonał się, że inni nie solidaryzują się z nim, albowiem wszyscy myśleli w skrytości ducha: każdy może się pomylić. Perfisza wyczuł, że tu nie znajdzie aprobaty i przeszedł do czego innego. I tak wziął oto na język króla Etiopii:

— Patrzcie tylko! Ludzie mówią, że w jego kraju nie wiedzą nawet co to spodnie, a my mamy udusić się z powodu niego.

Inni przerwali Perfiszy:

— Nie naszą jest rzeczą wyrokowanie, jakim on jest królem. Z ministerstwa otrzymaliśmy polecenie, jest to polecenie szczególnie ważne i musimy je wykonać wedle najlepszych sił i możliwości, abyśmy się nie musieli wstydzić, gdy szpada będzie nosiła stempel naszej huty.

Perfisza jednak nie dawał za wygraną:

— Trudzimy się, jakby szpada przeznaczona była dla jakiego znawcy: jakież jednak ma o tym pojęcie nasz król Etiopii? Dla niego najważniejszą rzeczą jest, aby przedmiot ten był tylko wystarczająco kolorowy i aby kłuł w oczy, a my będziemy mieć mniej do roboty!

Teraz zaczął opowiadać jeden z młodszych robotników z Etiopii. Jego kraj jest krajem gorącym; jeżeli chodzi o kulturę, trochę zacofanym, ale niepodległości swej potrafi bronić. Inne kraje, stojące pod względem kultury znacznie wyżej, od dawna już łapczywie nań spoglądały, ale ten nie pozwoli się ujarzmić. A ich król — albo jak oni go nazywają: negus — stanowi w tym względzie jedno ze swym narodem. Jeżeli jednak chodzi o wiarę, to Etiopowie mają tę samą wiarę, co my Rosjanie. Dlatego też pewnie ministerstwo postanowiło posłać dar do Etiopii.

W tej chwili poszły myśli wszystkich innymi drogami. Wszystkim zrobiło się weselej na duchu. Zaczęto mówić z uznaniem o Etiopach.

— To naród prawy i dzielny, skoro niepodległości swej bronić potrafi. Także jego król wydaje się mieć olej w głowie. Że się inaczej ubiera aniżeli my, to drobnostka. Nie spodnie decydują o wartości człowieka.

Perfisza zauważywszy, że rozmowa wzięła inny obrót, chciał znowu mieć rację i palnął:

— Jeżeli tak się rzeczy mają, winniśmy byli ukuć królowi Etiopii nie szpadę a szablę, podobną do szabli Salawata, o której opowiadał lud.

Tu nawet Mitrycz, najsławniejszy mistrz owego czasu, podniósł ręce na znak przeczenia:

— Co za głupstwa pleciesz, Perfisza. Nasi przodkowie nie wymyślili tej szabli dla żadnego króla, śmiem sądzić.

My młodzi, którzyśmy jeszcze nic o bajce tej nie słyszeli, wypadliśmy na niego z prośbami: — Opowiedz nam, dziadku Mitryczu! — A stary nie wykręcał się sianem:

— Dlaczegóż nie miałbym wam opowiedzieć, skoro tak czy owak mamy wolny czas? Bez powodu nie powstają żadne baśnie. Jedne służą napomnieniu, inne nauce, a są także i takie, które jak latarnie oświetlają drogę. A zatem słuchajcie.

— Najpierw jest w tej bajce mowa o Salawacie, o tym, co to był za człowiek. Opowiadanie o nim jest tutaj rzeczą zbędną, każdy go zna. Jest to ten Salawat, który u Baszkirów uchodzi za najsławniejszego ze wszystkich ich wodzów. Był on potężnym człowiekiem w służbie Pugaczowa. Krótko powiedziawszy, był jego prawą ręką. Napisano, jak mówi się, że Salawat został później stracony przez podłych pochlebców carycy, ale Baszkirowie nie chcą w to wierzyć. Mówią, że Salawat wywędrował do Taganai i stamtąd został przesiedlony na księżyc. Z tym to Salawatem zatem stała się rzecz następująca:

Pewnego dnia przejeżdżał on razem z wojskiem niedaleko naszej okolicy. Droga prowadziła przez pewien wąwoz. Wąwoz ten był wąski i nie więcej jak czterech jeźdźców mogło obok siebie jechać. Salawat jechał jak zawsze na przedzie. Nagle wybiega mu na zakręcie jakiś jeździec naprzeciw. W baszkirskich butach, baszkirskiej kurtce, ale w rosyjskiej czapce ze skóry jagnięcia, obciągniętej suknem. Również zewnętrznie wyglądał człek ten na Rosjanina: nosił szerokę i postrzępioną brodę. Nie był już młody: jego broda była mocno posiwiała. Koń pod nim był gniady, niezbyt duży co prawda, ale rasowy: ogniste oko, grzywa i ogon takie, że nie można było od nich oderwać wzroku. Dotknij go tylko, a już go nie ma i już go więcej nie zobaczysz.

Baszkirowie są urodzonymi jeźdźcami. Przy spotkaniu patrzą najpierw na konia, potem dopiero na człowieka. Wszyscy ci, dla których widok ten był dostępny, spojrzeli zatem na konia, a i Salawat uczynił to samo. Nikt nie pomyślał, skąd się wziął jeździec i czy nie należało mieć się na baczności. Każdy miał tylko jedno na myśli: mieć takiego konia na własność. Niektórzy złapali za lassa. Może sprawa weźmie taki obrót, że konia tego można będzie zdobyć przemocą. Wszyscy patrzyli na Salawata i czekali, co powie. Ale i ten nie mógł oderwać od konia wzroku. Salawat siedział oczywiście sam na pięknym koniu. Był to olbrzymi kary, ale gniady wydawał mu się pomimo to piękniejszy. Salawat zawołał:

— Hej, stary, wymieńmy swoje konie!

Jeździec spojrzał nań z szyderczym uśmiechem i rzekł:

— Nie, dzielny Salawacie, nie po to wysłano mnie do ciebie. Przynoszę ci ze starych gór podarunek. Szablę!

Salawat spojrzał na niego zdumiony:

— Na cóż potrzebna mi szabla, jeśli mam szpadę, której mogę zaufać. Oto popatrz!

Wyjął szpadę z pochwy i ukazał ją jeźdźcowi. Szpada była w rzeczy samej z kosztownej stali i bogata w ozdoby. Rękojeść wysadzana była drogimi kamieniami, cała zaś głownia wyłożona złotem w zakrętasach wzoru. Pochwa także się ino iskrzyła od złota i drogich kamieni.

— Piękniejszej nie znajdziesz nigdzie — chełpił się Salawat. — Podarował mi ją ojczulek — car, za nic w świecie nie rozstanę się z nią!

Jeździec uśmiechnął się znowu:

— Byłoż to dawno, dzielny Salawacie, że swego karego uważałeś za najpiękniejszego spośród wszystkich koni, a teraz rzekłeś mi: wymieńmy konie? Co rzekłbyś na to, gdyby i z szablą miało być podobnie? Ojczulek Omelian jest oczywiście bardzo wielkim mężem, a jego szpada posiada wysoką wartość, pomimo to jednak nie może się równać z darem starych gór. Proszę, weź ją!

Podjechał ku Salawatowi, zdjął wedle ruskiego zwyczaju czapkę, pozostając jednak w siodle i wręczył mu szablę. Była szersza jak szpada, lekko wygięta, w gładkiej pochwie. Ta była kuta srebrem, a wzór był jakby ukryty w głębi. Nic, co by kłuło w oczy, a jednak szabla wabiła nieodparcie. Salawat schował swoją szpadę do pochwy, wziął szablę i zważył: nie była za lekka, tak w sam raz. Wyjął szablę i zdrętwiał: w głowni skupiły się błyskawice, gotowe w następnej chwili rozpierzchnąć się. Ciął szablą w powietrze: płomienne błyskawice zaczęły gonić jedna za drugą, ale szabla pozostała cała.

— Tak, a teraz wypróbuję twardość stali! — zawołał Salawat. Pognał do wielkiego świerku, a sami wiecie jak potężne są świerki, które rosną w naszych górach. Toną jak kamień, jeśli je wrzucić w wodę. W pełnym galopie zamachnął się Salawat do ciosu, uderzył całą siłą z myślą: chcę tylko zobaczyć jaki karb zostawi szabla, jeśli tylko nie wyszczerbi się. Szabla przecięła świerk, jakby to był zaledwie pręt. Świerk zwalił się i omal nie przygniótł sobą Salawata i jego konia.

Na to zapytał obcy jeździec:

— Pojąłeś teraz, dzielny Salawacie?

— Pojąłem — odpowiedział tamten. —Takiej szabli nie znajdę nigdzie na świecie. Nie wypuszczę jej z ręki przez całe życie!

Nie spiesz się tak ze swymi słowami, dzielny Salawacie — odkrzyknął obcy. — Posłuchaj najpierw przykazania, jakie ci mam oznajmić!

— Jakiego przykazania? — porywczo krzyknął Salawat. — Powiedziałem, że nie wypuszczę jej z ręki, jak długo tylko pozostanę przy życiu! Innego przykazania nie uznaję!

— Tego i ja ci życzę — odpowiedział stary — ale nie jest w mojej mocy wypełnić to życzenie. Szabla ta nie jest — jak sam widzisz — zwyczajną szablą. Należałaby się właściwie ojczulkowi Omelianowi, jako najwyższemu wodzowi, ale życie jego nie zawsze było całkiem bez zarzutu: w jego ręku szabla straciłaby swą moc. Ty jesteś młody, nikt nie zarzucił ci jeszcze chęci zysku, właśnie dlatego posłano ją tobie jako mały dar. Wiesz, jaki zwyczaj panuje na rosyjskich weselach. Na podarunek młodego pana odpowiada panna młoda najpierw małym podarunkiem, który posyła przez pośrednika. Może to nawet jest najkosztowniejszy dar, posyłany jednak nie na zawsze, ale — jakby to powiedzieć — dla próby. Narzeczonej wolno w każdym czasie zażądać zwrotu małego podarunku. To sobie wbij w pamięć. Szabla ta będzie twoją własnością tak długo, jak długo nie splamisz się grzechem i prywatą. Jeżeli wytrwasz, zostawi ci się może szablę także jako wielki podarunek, to jest: na zawsze.

— A po czym to mam poznać? — zapytał Salawat.

— O to się nie troszcz. Objawi się to widomie twojej świadomości; ale w jaki sposób — tego nie wiem.

Słysząc te słowa, popadł Salawat w zadumę.

— Cóż jednak stanie się w wypadku, gdybym się czegoś złego dopuścił?

— Szabla straci swą moc i narodowi twojemu przyniesie nieszczęście, jeśli jej nie przyniesiesz z powrotem do gór.

— Gdzie mam cię znaleźć? — spytał Salawat.

— Mnie już więcej nie zobaczysz, musisz jednak znaleźć dziewczynę, która gotowa będzie życie swe ofiarować i pójść z szablą

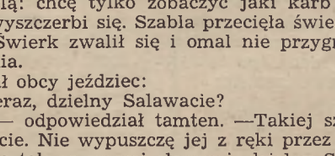

do gór. Tam szabla odzyska swą moc i zostanie stamtąd znowu zabrana. Nie wiem tylko, kiedy to będzie i kto tę szablę otrzyma.

Salawat wysłuchał go i rzekł:

Zrozumiałem twoją mowę, stary. Będę się starał nie osłabiać mocy podarunku starych gór. Gdyby jednak stać się miało nieszczęście, postąpię według twego drugiego przykazania. Jedno mi jeszcze powiedz: czy można swoją żonę wysłać z szablą do gór? — To można — odpowiedział stary — musi ona jednak pójść dobrowolnie.

Salawat uspokoił go: — O tym nie wątp, każda z moich żon pójdzie z radością, jeżeli zajdzie potrzeba.

Jeździec nie szczędził dalszych napomnień: — Jeżeli będziesz myślał o własnej korzyści, szabla straci swą moc, jeżeli jednak będziesz dbał o cały naród, nie wyróżniając żadnej rodziny, ani rodu, ani krewnych swych, ani znajomych, nikt nie potrafi ci się oprzeć.

Na tym skończyła się ich rozmowa. A wtedy obcy spojrzał na jeźdźców, którzy jeszcze lassa trzymali w ręku i wzroku oderwać nie mogli od jego konia, i rzekł z uśmiechem:

— No, proszę, jeżeli macie ochotę na pewną zabawę, nuże! Za tą oto górą zaczyna się łąka, tam stańmy do zawodów. Kto zarzuci pętlicę na szyję mego gniadego, stanie się natychmiast jego panem. Jeżeli nie uda się wam złapać go, inna korzyść stąd dla was wynika: bardziej wam się rozjaśnią rozumy.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Iwaszkiewicza egzamin z historii i talentu

Na tle obfitej twórczości Iwaszkiewicza „Czerwone tarcze" *) stanowią pozycję specjalną, jako jedyna powieść historyczna tego autora. Jednocześnie, będąc powieścią historyczną, tylko tematem, sięgającym w odległe dzieje XII w., różni się ona od ogólnego tonu całego dorobku znakomitego pisarza. W „W snobiźmie i postępie" (str. 95 — 96) pisał kiedyś Żeromski o Iwaszkiewiczu, że twórczość jego posiada: „dwa szczerozłote przymioty, zapowiadające świetnego pisarza — najzupełniejszą oryginalność pomysłów i najbezwzględniejszą szczerość wynurzeń". Nie ma potrzeby przykładać miary prawdziwości tych określeń do całej późniejszej twórczości Iwaszkiewicza. Warto by natomiast zastanowić się, na ile one są słuszne w odniesieniu do „Czerwonych tarcz". Powieść historyczna dla twórczości pisarza o tak silnym, własnym wyrazie artystycznym, staje się czymś w rodzaju ostatecznego, decydującego egzaminu. Tutaj nie jest on bowiem całkowicie panem własnego tworzywa, ale w pewnej mierze dostosowywać się musi do najogólniejszych choćby prawd historycznych. Nawet, gdy na kanwie historii tworzy legendę! I tylko niewątpliwy, wielki naprawdę talent potrafi ograniczenia twórcze, wypływające ze ścisłości faktu historycznego, oddać przy pełnej swobodzie i nieskrępowaniu typowych znamion własnego artyzmu.

Ostateczny egzamin Iwaszkiewicza, jako pisarza czołowej klasy, wypadł celująco. „Czerwone tarcze" okazały się doskonałą pracą dyplomową. Przy zachowaniu podstawowej wierności faktów historycznych, pisarz ten ani w części nie zrezygnował z użycia znamiennych cech własnego indywidualizmu twórczego. W „Czerwonych tarczach" mamy tę samą żywiołową, pełną dynamicznego rozmachu oryginalność inwencji twórczej. I to nie tylko w partiach, gdzie fikcja literacka nie doznaje ograniczeń, ale również w malowaniu wydarzeń ściśle historycznych. Podobnie szczerość wypowiedzi pisarskiej nie doznała żadnego zahamowania. Iwaszkiewicz w „Czerwonych tarczach" jest tak samo całkowicie samodzielny w swych koncepcjach literackich, tak samo dynamiczny i tak samo szczery, jak w „Hilarym, synu buchaltera", w „Zmowie mężczyzn", „Pannach z Wilka" czy pracach powojennych: „Starej cegielni", „Nowej miłości" lub „Nowelach włoskich". Kanwa historyczna nie osłabiła siły jego talentu i charakterystycznych znamion jego twórczości. To jest wielki triumf pisarski. Autor może posługiwać się najrozmaitszą formą wypowiedzi, od dramatu przez powieść, essay do groteski włącznie — jest to tylko problem formy ekspresji, ale znamiona indywidualne jego pióra, stosunek wewnętrzny pisarza do swej pracy, wreszcie pewien pion moralno - etyczny — pozostają bez zmian. Odpowiadanie tym warunkom — staje się pełnym znamieniem wykrystalizowanego, dojrzałego talentu.

Czytelnik dzieł Iwaszkiewicza może najbardziej sobie upodobać ten czy inny utwór. Ma możność wyboru! Tematem, sposobem ujęcia, formą ekspresji literackiej, pociągają go, dajmy na to, bardziej „Nowele włoskie" niż „Czerwone tarcze", gdy przeciwnie, ktoś inny zareaguje wręcz odwrotnie. Zależy to od indywidualnego upodobania odbiorcy, od tematu tworzywa literackiego. Natomiast niezmienna pozostanie ocena artystyczna, równa dla obu utworów.

*

Dwie rzeczy szczególnie pasjonują przy lekturze tej powieści z bogatego w treść wieku dwunastego. Są to wyjątkowe piękno i sugestywność opisu oraz prawdziwość artystyczna psychologicznych przeżyć głównych postaci utworu, zarówno ściśle historycznych, jak i będących wytworem fantazji literackiej.

Opis przyrodniczy, architektoniczny, psychologiczny jest kunsztownym majstersztykiem, typowym dla pióra Iwaszkiewicza. Czuje się on dobrze zarówno w opisach ziemi rodzimej, jak i w wizjach opisowych krajów dalekich, innych najzupełniej: — od niemieckich dzielnic przez Alpy do Włoch, a potem do Ziemi Świętej. Brak tu jakiejkolwiek sztuczności. Wierność i prawdziwość doznań postaci powieści czy samego autora działa sugestywnie, urzekająco. Swoboda i lekkość, prostota stylu przy całej jego kunsztowności, wytwarzają w umyśle czytelnika wyraźny kształt malarski, dostrzegalny bezpośrednio i bez trudu.

Subtelne, acz wnikliwe, nieraz natarczywie wnikliwe sięganie w głąb duszy człowieka, dokładne analizowanie jego przeżyć wewnętrznych, znajduje w Iwaszkiewiczu doskonałego, zapamiętałego odtwórcę. Autor lubuje się w poszukiwaniu najgłębszych podkładów jaźni swych bohaterów, w szukaniu w postawie psychicznej pełnego umotywowania ich czynów.

Henryk Sandomierski jest zarysowany arcyprawdziwie i przejmująco ludzko. Człowiek słaby marzy o czynach na miarę olbrzymią swych przodków. Marzenia nie znajdują realizacji. W momentach decydujących Henryk waha się, zmienia decyzje, brakuje mu siły woli i bezkompromisowości, niezbędnej dla ludzi z wrodzonym instynktem władania. W tej walce między śnioną swą misją do wypełnienia, a jej fikcją w realnych osiągnięciach, tragiczny, zagubiony w sprzecznościach współczesnego świata książę tkwi w stanie inercji, bezpłodny w działaniu, wciąż wyczekujący i odkładający moment decyzji. Tym samym przybliżający chwilę załamania. Iwaszkiewicz mu je ułatwia, jak gdyby wprowadzając fikcyjną postać Judki i romans jej z księciem, zakończony świętokradztwem dziewczyny. Konflikt serca książęcego pomiędzy miłością a prawem ostatecznie łamie Henryka Sandomierskiego. Wyprawa po koronę królewską dla zjednoczonej Polski, zakończona niespodziewanym zwrotem przeciw Prusom, decyduje o losie młodego, tragicznego księcia. Śmierć kładzie kres jego szarpaninie duchowej.

Moment śmierci Henryka Sandomierskiego stanowić może jeszcze jeden dowód, jak Iwaszkiewicz pozostaje wierny i ścisły w stosunku do historii, umiejętnie stwarzając równocześnie obrazy fikcji literackiej. Wyprawa w 1166 r. na Prusów kończy żywot księcia. Ani W. Kadłubek, ani inne źródła nie podają jednak dokładnie, że śmierć Henryka Sandomierskiego nastąpiła z całą pewnością na polu walki. I tutaj Iwaszkiewicz, nie naruszając ścisłości historycznej, przenosi śmierć księcia jeszcze w tym samym roku (bo to data pewna) do rodzimego Sandomierza, by móc dorzucić jeszcze jeden sugestywny, piękny literacko obraz do swej powieści. Legendarna korona Szczodrego wydobyta ze zmurszałego grobu na cmentarzu klasztornym w Osejaku, pielęgnowana pieczołowicie tak długo, jak długo pielęgnowana jest w duszy księcia myśl o królowaniu nad zjednoczoną Polską, ginie — jego ręką rzucona w fale Wisły. Ginie razem i marzenie o koronie, umiera wkrótce i sam Henryk.

Podobnie prawdziwe psychologicznie są i inne, mniej lub bardziej wyraziście zarysowane postacie. A więc rodzina książęca, Barbarossa, typy rycerskie i szlacheckie, trubadurów, sług, żydowskich kugmistrzów i innych. Na tle wspomnianych uprzednio równie prawdziwych i sugestywnych opisów tworzą całość harmonijną, frapującą i urzekającą czytelnika pięknem artystycznym.

Eugeniusz Pauksztа

*) Jarosław Iwaszkiewicz „Czerwone tarcze"; wyd. III; 1947; Sp. Wyd. „Czytelnik"; str. 377.

starych gór

Wszyscy, którzy cugle trzymali w pogotowiu, formalnie pomienieli. Dlaczegóż by nie spróbować szczęścia? Radośnie ruszyli z kopyta. Skoro minęli nie dużą przestrzeń, zobaczyli naprawdę rozległą łąkę przed sobą. Jeździec oddalił się na tuzin kroków, ustawił swego konia w poprzek drogi, wskazał ręką na góry i rzekł:
— Tam jadę, gdy skinę ręką, możecie mnie ścigać. Tak niech będzie!

Ci co przypatrywali się, byli zdziwieni, dlaczego zadawala się on tak małym odstępem i konia ustawia w poprzek drogi, jak gdyby chciał ułatwić jeźdźcom złapanie go. Pomiędzy rzucającymi pętlice był jeden, który był w tej dziedzinie mistrzem, pewien krępy mężczyzna, a konia miał, który wydawał się być stworzonym do tego celu: niestrudzony w długim pościgu i stale gotów do dalszej gonitwy. Wszyscy byli przekonani, że Faglasam bezwarunkowo złapie wierzchowca. Nagle jeździec szepnął swojemu siwkowi jakieś słówko, skinął ręką i zniknął sprzed oczu wszystkich jak widziadło napowietrzne. Zaczęli więc szukać, gdzie podział się jeździec. Zbliżyli się do kamienia, który im ukazał, i zobaczyli: na modrym kamieniu połyskiwały śliczne, złote iskry, jak gdyby jeździec tędy właśnie przejeżdżał. A wtedy rozjaśniły im się rozumy. Wszyscy wpadli na miotaczy pętlic, jak oni śmieli urządzać gonitwę na konia tak znakomitego posłańca? Otoczyli Salawata i wypytywali się, o czym obcy mówił. Salawat opowiedział wszystko, nie ukrywając niczego, oni zaś rzucali mu okrzyki:

— Uważaj, dzielny Salawacie, ażeby szabla twoja nie straciła swej mocy. Nie myśl o własnych korzyściach, dbaj o naród. Nie darz względami swojej rodziny, nie dawaj pierwszeństwa jednemu rodowi przed drugim.

Salawat zapewniał ich, że tak uczyni. Dotrzymał on rzeczywiście słowa na długi czas, a podarunek starych gór służył mu tak, że żadna siła nie mogła sprostać Salawatowi. W końcu jednak sprzeniewierzył się mimo wszystko. Rodzina jego zwiodła go z prawej drogi. Ród Salawata posiadał mianowicie dużo ziemi. Atoli właściciel huty Twerdyszew z własnej woli zbudował na tych dobrach zakład i do tego jeszcze obsadził dwie wsie swoimi poddanymi, których tutaj ze swoich ziem sprowadził, ażeby rąbali drzewo, palili węgiel i wykonywali dla huty inną jeszcze pracę. Rodzina zaczęła podburzać Salawata: postaraj się o to, ażeby huta i wioski zniknęły z naszych dóbr. Słuszność będzie po twojej stronie, gdy ludzi stąd wypędzisz. Początkowo Salawat wystrzegał się tego. Dwa razy udawał się Salawat do zakładu i do wiosek i za oboma razami rozmawiał z pewnym dziewczęciem. Wtedy to rodzina obróciła się przeciwko niemu. Przychyliłeś się — mówiła — na stronę obcych, wyrzekłeś się swych krewnych. Żony zaś jęczały: „Woli rosyjską dziewkę aniżeli nas!“ Salawat ustąpił i przedsięwziął ze swą rodziną napad na hutę i wioski.

— Wynoście się tam, skądeście przyszli — wołał.

Chłopi tłumaczyli mu, że nie z własnej woli przybyli na cudzy teren, ale rodzina nie pozwoliła mu nawet wysłuchać słów tych do końca. Koniec był taki, że huta i obie wioski zostały spalone, a ludzie rozpędzeni. Od tego czasu nie płonęły już w szabli Salawata błyskawice. Wieść o tym od razu rozeszła się w wojsku. Jakże też mogło być inaczej, skoro Salawat dwa razy został ranny, co przedtem nigdy nie zdarzyło się. W tym czasie też zaczęła chwiać się sprawa Pugaczowa i było z nim coraz gorzej. Ze wszystkich stron dręczyły go wojska carycy. Wówczas Salawat zebrał tych spośród wojowników, którzy mu pozostali wierni, wziął swe żony i udał się na Taganai. Przystąpił do góry, odpiął szablę, dał ją jednej ze swych kobiet i rzekł: — Weź tę szablę, Farido i wejdź do środka góry. Ja zaś wyjdę na szczyt. Gdy szabla odzyska swoją dawną moc, wynieś ją z góry, a ja zejdę ze szczytu.

Farida zaczęła szukać wymówek, że nie jest przyzwyczajona do ciemności, że boi się sama, że tam jest straszno. Salawat rozgniewał się i zwrócił do innej ze swoich żon:

— Idź ty, Nafisso!

Ta też miała gotową wymówkę: — Farida jest twoją ulubienicą. Posłałeś ją pierwszą, niech ona szablę zaniesie!

Salawat opuścił bezradnie ręce, pamiętał bowiem dobrze, że kobieta powinna iść dobrowolnie, w przeciwnym razie góra jej nie wpuści. Co robić!? Starszyzna wojskowa i całe wojsko było niespokojne i zaczęło kobietom perswadować:

— Jesteście pozbawione wszelkiego ludzkiego uczucia? Całemu narodowi grozi nieszczęście, a wy kłócicie się w kółko. Ta spośród was, która wejdzie do środka góry, będzie w pamięci narodu żyła na wieki; jeżeli zaś nie pójdziecie, to i tak zginiecie razem z nami.

Kobiety jednak były ponad wszelką miarę rozpieszczone i zepsute, że o niczym innym nie myślały, jak tylko o wesołym i pełnym używaniu życiu. Wszczęły one taki lament, że słychać je było daleko w okolicy, przy tym wszystkim nie zapomniały jednak o kłótni:

— Nie po to wydano mnie za mąż, abym miała być zmuszona do wejścia w środek góry! Niech Nafissa idzie!

Druga zaintonowała tę samą piosenkę i na koniec zawołała:

— Niech idzie Farida, z takim obliczem będzie dla niej najlepiej, gdy schowa się w środku góry!

Jednym słowem: wszystkie były wstrętne i lamentom nie było końca. Aż oto nagle stanęła przed nimi dziewczyna ze spalonej wsi. Ta sama, z którą Salawat dwa razy rozmawiał. Spojrzała nań surowo i rzekła:

— Rozpędź te dziewki! Czyż to są kobiety dla bohatera? Rozpędź także swoją rodzinkę! Zostaw przy sobie tylko swoich wiernych żołnierzy, z którymi w najlepszej wierze wojowałeś za naród! Dopiero wtedy porozmawiamy ze sobą.

Salawat pojął, że nie przyszła bez powodu i uczynił tak, jak kazała. Jeźdźcy przyskoczyli od razu i rozpędzili rodzinę, kobiety same uciekły wysoce uradowane, że nie musiały wchodzić do wnętrza góry.

Gdy wrzask i płacz kobiet ucichł, dziewczyna ozwała się w te słowa:

— Bohaterski Salawacie! Przyszłam nie za interesem i jestem gotowa ofiarować swe młode życie, aby ci pomóc i naród od cierpień uwolnić. Wiem wcale dużo o szabli, którą trzymasz w ręku. Ufasz mi?

— Ufam — odpowiedział Salawat.

— Jeżeli mi ufasz, daj mi dar starych gór!

Salawat spojrzał po swoich jeźdźcach. Skinęli na znak zgody: daj, nie miej żadnych wątpliwości! Salawat ukłonił się nisko, potem podniósł głowę i zobaczył że dziewczyna stoi przed nim w innej sukni. Dotychczas miała na sobie biedne szatki, buty z łyka, na głowie wypłowiałą chustkę, teraz zaś ubrana była w kosztowne szaty czerwonego koloru, haftowane srebrnymi niciami i ozdobione frędzlami, na nogach miała baszkirskie buty ze zdobnego safianu, na głowie czepek dziewczęcy, połyskujący od klejnotów, na szyi kosztowny łańcuszek ze złotych monet. Ciepło łona udzieliło się temu łańcuszkowi, że także tchnął ciepłem i czułością.

— Oto oblubienica, która przychodzi, aby odebrać swój mały dar — myślał Salawat. Podał jej szablę. Dziewczyna wzięła ją obiema rękami, przytrzymała przed sobą jak na płycie i rzekła z uśmiechem:

— Dlaczego oglądnąłeś się?

Salawat odpowiedział, że chciał się przekonać, czy jego jeźdźcy ufają jej. Dziewczę jednak westchnęło:

— Ach, Salawacie, Salawacie! Gdybyś się był stale oglądał za własnym narodem! Gdybyś nie był nastawiał ucha rodzince swej i swoim żonom! Jakież to kobiety wybrałeś sobie! Chciałam cię na pożegnanie uściskać, ale kiedy je zobaczyłam, nie mogę. Będziemy snać musieli bez tego rozstać się, ja — do wnętrza góry, ty na górę. Przyjdzie czas, że i ja wyjdę na wierzch góry.

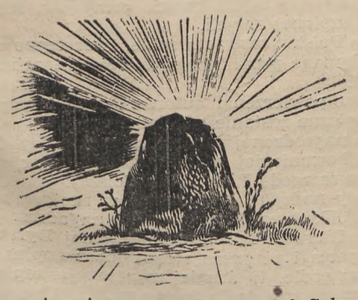

— Zobaczymy się więc znowu — zawołał Salawat z radością.

— Nie, bohaterski Salawacie, nie zobaczymy się i nie dostaniesz już nigdy do ręki daru starych gór. Dla tego został ukuty, kto nigdy nie postawił własnej korzyści nad dobro narodu.

— Kiedy pokażesz się na górze? — spytał Salawat.

— Tego nie wiem — odpowiedziała. Jedno wiem tylko, że na szczycie znajdę się wtedy, gdy ze wszystkich naszych gór i ze wszystkich innych gór podniosą się do nieba płomienne strzały. Nad największym miastem utworzą te strzały krąg, a w tym kręgu wypisane będzie pismem z płomieni imię tego, komu dar starych gór przypadnie na wieczne czasy.

Po tych słowach odwróciła się i podeszła do skalistego występu góry. Idzie wolnym krokiem, że zaledwie zdobny w czerwone wstążki warkocz porusza się cicho tam i z powrotem, a szablę niesie na wyciągniętych ramionach, jak na jakiej płycie, przed sobą. I cisza stała się naokoło. Dużo narodu zebrało się co prawda, ale wszyscy jakby struchleli, żadnego chrzęstu niczyjej uzdy nie było słychać.

Dziewczyna zbliżyła się do skały, odwróciła się i rzekła cicho:

— Żegnaj, Salawacie, żegnaj, mój bohaterze!

Potem wyjęła szablę z pochwy i dwoma cięciami naznaczyła krzyż przed skałą. Na kamieniu zabłysły błyskawice, tak że ludzie aż zaniewidzieli. Kiedy jednak otworzyli oczy, miejsce przed skałą było puste. Salawat i inni podbiegli do skały i zobaczyli, że na niebieskawym kamieniu zaznaczone było złotymi iskrami miejsce, gdzie przeszła dziewczyna.

Kiedy Mitrycz opowiedział bajkę do końca, zapytał:

— A więc, dzieci, czy zrozumieliście, dla kogo nasi przodkowie przeznaczyli swój kosztowny skarb?

Zaczęli wszyscy krzyczeć, jeden przez drugiego:

— Zrozumieliśmy, dziadku Mitryczu, zrozumieliśmy.

— No, jeżeliście zrozumieli — rzecze tamten — to nie możecie siedzieć bezczynnie. Wszyscy muszą współdziałać, ażeby opowieść pradziadów wkrótce stała się rzeczywistością.

— Nasz Mitrycz — trzeba wam wiedzieć — wyjaśnił nam narrator — należał do nich ... był uważany za niespokojną głowę, przełożeni nie chcieli go. Ostatni dyrektor zwolnił go nawet. Nie brali nawet pod uwagę, że Mitrycz był niezrównanym mistrzem. Jużci, muszę rzec, pewną sprawą tak pokierował, że długo jeszcze przełożonym leżała w żołądku; nie mogli tego przeboleć, że coś takiego mogli przeoczyć. Ale to już inna historia. Aby ją opowiedzieć, trzeba by zbyt wiele czasu.

Zamilkł na chwilę, a potem dodał:

— Co zaś do współpracy, to jużeśmy jej dokonali. Mogę sobie jeszcze dobrze przypomnieć, ilu spośród naszych hutników poszło pomiędzy jeźdźców i wojowników, którzy za tę sprawę walczyli i jak myśmy dzielnie razem pracowali, gdy czasy się wyklarowały. Teraz nastała pora. Nawet ten, co widział na własne oczy, wie pomimo to, kiedy nad naszym największym miastem płomienne strzały utworzyły krąg. I każdy widzi w tym kręgu imię tego, kto obudził w narodzie świadomość całej jego siły, pobił wszystkich wrogów na głowę i sławę narodu zaniósł na najwyższy szczyt.

Przełożył z rosyjskiego **Andrzej Rozbarski.**

Historia Niemców

(Ciąg dalszy ze str. 2)

armia, ze swoimi kontrolowanymi możliwościami zbrojeniowymi, stanie się szkołą nowej, całkowicie ztechnizowanej wiedzy wojennej. Mimo całej kontroli, w Republice Weimarskiej odbywała się budowa nowego państwa wojennego.“

Z kolei Velt Valentin wymienia i analizuje cztery główne błędy mocarstw zwycięskich po I-szej wojnie światowej.

Błąd pierwszy: „Niedopuszczenie połączenia się Austrii z Niemcami W konstytucji weimarskiej był artykuł mówiący o jedności z Niemiecką-Austrą. Zwycięzcy zażądali usunięcia tego artykułu, podobnie jak zmusili rząd wiedeński do porzucenia nazwy Niemiecka-Austria (Deutsch-Oesterreich). Złączenie się z Austrią obciążyłoby niemiecką Rzeszę wielką ilością trudnych do rozwiązania problemów. Prawicowi północno-niemieccy protestanci straciliby swą wagę wobec zwiększenia się wówczas w Niemczech mieszanego elementu katolickiego i słowiańskiego. Większość jednak republikan weimarskich widziałaby w szybkim połączeniu się z Austria spełnienie starych niemieckich tesknot a zarazem wyrównanie poniesionych strat.“

„Błędem drugim było postanowienie zwycięzców o wydaniu i postawieniu przed sąd tak zwanych zbrodniarzy wojennych. W Niemczech wśród lewicy istniało wielkie rozgoryczenie w stosunku do odpowiedzialnych za wojnę. Mogło też ono oddziałać politycznie w sposób bardzo korzystny, gdyby nie żądanie mocarstw zwycięskich, czyniące z ludzi już atakowanych nagle męczenników. Patriota niemiecki mógł sam jak najostrzej osądzać pewne czyny, szczególnie w Belgii, nie mógł jednak uznać za właściwe, aby mniej lub więcej winni skazywani byli przez zagraniczne sądy niedawnych wrogów.“

„Błędem trzecim mocarstw zachodnich była sprawa reparacji. Traktat pokojowy nie wymieniał żadnej konkretnej sumy odszkodowań, ponieważ w tej sprawie mężowie stanu ententy nie umieli uzgodnić swych żądań.“

„Błędem czwartym mocarstw zachodnich było niedopuszczenie Niemiec do Ligi Narodów ...“ Mimo, że „Niemcy były nadal przecież jednym z mocarstw europejskich, rozporządzającym najpotężniejszym skupieniem sił gospodarczych i najwartościowszym zbiorem dóbr kulturalnych Europy Środkowej. Niemcy otoczone były też pewną liczbą małych sąsiadów, dla których dobra te w każdym wypadku coś znaczyły. I oto tak wielki kraj, którego najlepsi ludzie pracowali nad odrodzeniem politycznym i duchowym swego państwa — nagle był wykluczony od wspólnoty Ligi Narodów. Miał czekać przed drzwiami, aż zostanie wpuszczony.“

Jak widzimy, wszystkie te cztery „błędy“ popełniły mocarstwa zwycięskie i po II-giej wojnie światowej. Książka więc Valentina jest „właściwą“ lekturą dla dzisiejszych Niemców!

III.

Wygrywając błędy zwycięzców reakcja szybko opanowała od wewnątrz aparat państwowy Weimarskiej Republiki. Opisując to Valentin stwierdza:

„Rzesza Weimarskiej Republiki dziwnie szybko zezwoliła na odradzanie się starej Rzeszy, zakorzenionej w Niemczech Zachodnich a walczącej o swój wschodnio-niemiecki obszar kolonialny (Ostdeutsches Kolonialland).“

Tworzenie się bojówek, z których powstać miały przyszłe kohorty SA i SS wyglądało następująco:

„Nie wszyscy zasłużeni oficerowie mogli być przyjęci przez nową Reichswehrę. Młodszym i zdolniejszym udała się to. Wielu innych przeszło do policji, przez co ta otrzymała niepożądany militarystyczny charakter. Wśród licznych niezadowolonych grup żołdaków, działających po wojnie, szczególnie wybijały się t. zw. grupy bałtyckie, oddziały, które w czasie wojny miały służbę w państwach bałtyckich i nauczyły się tam aż za bardzo stosowania półrosyjskich metod. Sympatie do junkrów i antysemityzm cechowały tych ludzi a także brutalność wobec inno-narodowych mniejszości. We wschodnich pruskich prowincjach istniały sprzyjające warunki dla tego typu żołdaków. W czasie plebiscytów w Prusach Wschodnich i na Górnym Śląsku ta ochotnicza gwardia oddawała pożyteczne usługi. Komuniści i Polacy tworzyli przyczynę —

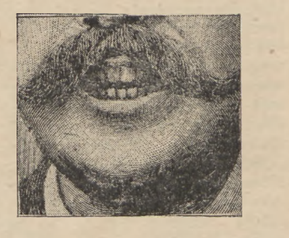

Łajdacki wschód i łajdacki zachód. Linia zdrowia przebiega od północy ku południu, Berlin jest jej żywotnym początkiem i końcem ... Dobierzemy się wkrótce do łajdaków. (Hitler)

a w skutkach patriotyzm, zawadjactwo, awanturnictwo i opozycjonizm łączyły się razem przeciw ładowi państwa.“

Wtedy to powstał ruch nacjonalsocjalistyczny, którego „stale rosnące sukcesy wynikały z ogólnego rozwoju sytuacji w Niemczech zarówno w polityce zagranicznej jak i w polityce gospodarczej.“

„Antyliberalizm, antysemityzm, antychrystianizm i antymarksizm były czterema elementami ruchu nacjonalsocjalistycznego.“

„Bezpośrednie i pośrednie zbrojenia były właściwym poważnym sensem całego systemu. Z każdym rokiem wzrastający majątek narodowy zamieniany był w broń i urządzenia wojenne. Każdy posiadacz był zainteresowany w gospodarce wojennej i nie mógł sobie życzyć zmiany ustalonego kierunku. Zapas

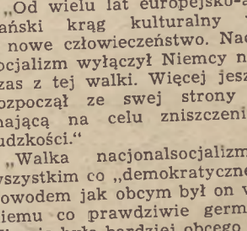

Zniszczyć — oto cel. Niech budują inni. Niemcy zbyt wiele budowali. Teraz winni — niszczyć. Zniszczenie jest takim samym ostatecznie ożywczym środkiem jak odbudowa. (Moltke)

złota topniał, za to wzrastał zapas żelaza, które mogło dać jednak zyski tylko przez użycie zgromadzonej broni. Po dalszych 10 latach Niemcy nie byłyby w stanie stworzyć nowy garnitur zbrojeniowy, który byłby konieczny wobec dalszych ulepszeń technicznych. Gdyby nie doszło szybko do wojny to nastąpiłoby bankructwo, chaos i załamanie się nacjonalsocjalizmu. Partia zmieniła Niemcy w fabrykę wojenną i koszary. Światopoglądowo partia uznawała wojnę — lecz więcej: wojna, z punktu widzenia wyłącznie gospodarczego, była wielkim ostatnim interesem, jedyną i ostateczną możliwością zrobienia rozrachunku, zużycia i wykorzystania stworzonych zapasów.“

„Historycznie nacjonalizm wypełnił to, co z sukcesem próbowała stworzyć antyreformacja, absolutyzm, militaryzm i biurokratyczna reakcja. Nieszczęsny rok 1933 był tylko dalszym ciągiem nieszczęsnych lat — 1648, 1715, 1815, 1849, 1866, 1878, 1894. Ten cały rozwój wydarzeń miał tylko jeden wielki cel — zamordowanie niemieckiej wolności.“

„Od wielu lat europejsko-amerykański krąg kulturalny walczy o nowe człowieczeństwo. Nacjonalsocjalizm wyłączył Niemcy na swój czas z tej walki. Więcej jeszcze — rozpoczął ze swej strony walkę mającą na celu zniszczenie idei ludzkości.“

„Walka nacjonalsocjalizmu ze wszystkim co „demokratyczne“ była dowodem jak obcym był on wszystkiemu co prawdziwie germańskie. Nic nie było bardziej obcego i przeciwnego istocie staroniemieckiej świętej Rzeszy, nic bardziej nie było niegermańskie jak wschodni despotyzm. Tymczasem właśnie ten despotyzm wschodniego obszaru kolonialnego odrodził się na nowo i zgniótł praniemiecką ideę wolności. Aby jednak zakryć swój obcy, nieniemiecki, niegermański charakter, despotyzm ten użył ideę germańską jako ideę swego systemu.“

IV.

Polityka zagraniczna Hitlera posiadała trzy programy. „Pierwszym programem była idea militarnego rewanżu“. W rozdziale tym Valentin wyprowadza postępowanie Hitlera z jego... austriackiego pochodzenia. „Policyjne traktowanie narodowości słowiańskich było dla Fuehrera rzeczą naturalną, tak jak dążenia Wiednia do hegemonii w basenie naddunajskim. Jego odraza do Czechów i Serbów, a sympatia dla Węgrów odpowiada doświadczeniom Austro-Węgier Franciszka Józefa. Tak więc w Hitlerze złączył się pruski rusofilski militaryzm z austriackim militaryzmem antyrosyjskim. Dualizm niemieckiej tradycji wyraził tu w niemieckiej polityce zagranicznej“.

Drugim programem była idea antybolszewickiej krucjaty. Najdziwniejszy z wyczynów Hitlera w polityce zagranicznej, zawarty na 10 lat pakt nieagresji z Polską, całkowicie odpowiadał tej idei“.

„Francja i Anglia, zmęczone, zestarzałe państwa demokratyczne

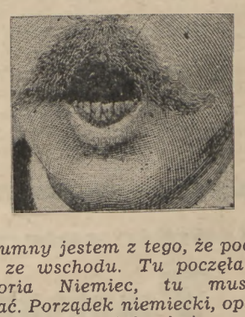

Dumny jestem z tego, że pochodzę ze wschodu. Tu poczęła się historia Niemiec, tu musimy trwać. Porządek niemiecki, oparty na najszlachetniejszej jego emanacji, na junkierstwie, przetrzyma jeszcze niejedną burzę dziejową. (Hindenburg)

nie były brane pod uwagę, jako poważni przeciwnicy (kontynentalno-europejskiej hegemonii Niemiec). Droga na Bliski Wschód i droga na Władywostok w tej ocenie stała zatem otworem.

„Gdyby nacjonalsocjalizmowi udało się wytworzyć znośne stosunki i sąsiedzką współpracę z Polską i z Czechosłowacją, to być może program wschodni mógł być wykonalny“.

Trzecim programem był rewolucyjny imperializm światowy — „misja światowa narodu niemieckiego, stworzenia nowego europejskiego ładu, powstrzymania upadku zachodu i wytworzenia niemieckiego przywództwa“.

„Pozornie przeciwko bolszewizmowi prowadzona walka ideologiczna, w rzeczywistości była wojną morderczą przeciw prawu samostanowienia o sobie Słowian i narodów północno-azjatyckich. We-

(Dokończenie na str. 4)

TADEUSZ SZAFRANIEC

„Auf der grynen Wize siedzi zając“

— Ja i ty jesssteśśmy z-z-z jednej krwi! — obwoływał się stale w dżungli Kiplingowskiej Mowgli nie tylko na aktywie zwierząt, lecz i w samotnych wędrówkach po puszczy. Choć darł się na całe gardło, ludzie tego słyszeć nie mogli, gdyż mowa puszczańska, jak zapach kwiatów, nie dla ciebie stworzona, człowieku. Fale jej drgają poniżej skali głosów, uchwytnych dla gatunku zwanego homo sapiens, jeśli mają usłyszeć ją wilki czy inne czworonogi, lub powyżej, gdy się pragnie przemówić do nietoperzy, sępów czy innych gadzin latających, śpiewających.

Śląsk do pewnego stopnia jest jeszcze taką dżunglą. Oto drobny szczegółik: Inne dzielnice wypenetrowały już dawno, zapisując w swoich „Wisłach“ czy „Ludach“, o czym ich ptaki śpiewają, w odniesieniu do ziem odrzańskich nie uczynił tego natomiast żaden Dygasiński czy Kolberg. Źle jest o tyle, że naturalnie Niemcy pośpieszyli skwapliwie zapełnić tę lukę w etnografii. Rozmaite Klappery, Fischery, Oberschlesiery będą wam godzinami udowadniać, że i ta dziedzina zniemczyła się dokumentnie. Nawet wrona kracze po niemiecku: gak! gaaak! a dopieroż czajki, drozdy i wszystkie gajówki! Słowa po polsku nie poradzą wymówić.

Ornitologia ludowa ziemi ślężej jest bogata i urozmaicona, jako że i tu nieustanne przypływy trzech folklorów polskiego, czeskiego, niemieckiego stymulowały twórczość samorodną. Widać ową samorodność już w regionalnych nazwach ptaków. Skowronek — świegotuszka, szpak — skworz, rudogon (z familii drozdów) — gwizdek, pestkojad — grabołusk — grubonos, derkacz — kasper, wróbel — filip, przepiórka — podpółka.

PIĘĆ PONO? SZEŚĆ!

Skąd się nazwa podpółki wzięła? To dowód krewieństwa z folklorem wschodnio-polskim. Furmani od Lublina, pierwsi przewoźnicy wątków tamtejszych nad Odrę, opowiadali może, że są ptaki w zbożu wołające: pod-pa-laj! Ślązak zrobił z tego: pod-po-lem! pod-po-lem! W powiatach graniczących z Wielkopolską przepiórki wołają inaczej: pięć-pono! pięć-pono! Wyobraźnia ludowa umie to również objaśnić. Przepiórka jest kiepską gospodynią. O każdym przednówku idzie do kaspra (derkacza) pożyczyć kilka miarek pszenicy, obiecując święcie oddać dług po żniwach. Nigdy nie starczy, więc chytra podpółka zapiera kasprowi choćby jedną miareczkę:

— Sześć! sześć! sześć! — dopomina się derkacz.

— Pięć pono! pięć pono! — odpowiada od stworzenia świata przepióreczka. Jeśli ta spórka zaczyna się wcześnie, wieś się raduje, a chachary miastowe martwią: zboże będzie droższe.

CZEMU SŁOWIK ŚPIEWA NOCĄ?

Pamiętamy ile się namęczył Radek w „Syzyfowych Pracach“, by swemu uczniowi na „korku“ wbić w łepetę łaciński frazes: słowik śpiewa nocą. Dlaczego nocą? Gdzieś od Częstochowy, jak sądzę, przywędrowała na Śląsk cała gadka o niewiernej dziołsze, która obiecując wciąż oddać rękę owczarzowi, zwlekała ciągle, często-gęsto zdradzając go z innym. Przyłapaną na gorącym uczynku, przeklina owczarz, by po wsze czasy nie zaznała w nocy spokoju, dręczona żalem, tęsknicą. Zmieniona w słowika dziołcha niewierna śpiewa odtąd jedynie w nocy jako słowik-bałamut. Ot, i daleka filiacja prastarego i ponurego mitu Hellady o Filomeli, który już bardzo dawno — jak pamiętają uczniacy — opowiedziany był w Sobótce Jana z Czarnolasu. Ale dajmy pokój słowikowi, którego na topoli serce boli. Księgę całą mógłbym o tym napisać. A nie mogę, bo mi wciąż brak tekstu śpiewu słowiczego w gwarze przyodrzańskiej. Młode kociki z uśmiechem mówią mi, że przypomną sobie dopiero wtedy, gdy będą starkami, starki zaś obiecują, nie dotrzymując obietnicy. Odzywki słowijaszka, trybem śląskim utrzymane są zapewne w formie dialogu z człowiekiem, jak odzywki zięby, kosa i innych.

WILGA REAKCJONISTKA

Taka wilga-boguwola chociażby. Po całej Polsce krzyczy na wiosnę: zofijo pójdymy na piwo, a tylko Ślązak jej odpowiada: kiebych jeno mioł za co! Warto dodać, że ptaszyna owa jest zawziętą po dziś dzień reakcjonistką. Inaczej nie wykrzykiwałaby przed deszczem szczególnie, że wolą boską jest, by chłop panu czynsze z roli płacił! (Bogu wolo, chłopu rolo, panu płat!)

Słuchając wiosennych koncertów ptasiej rzeszy zauważymy, że zięby i szpaki czyrkają na całe gardziołki, że kos dumny ze swej koloratury, śpiewa istne oratorium na cześć Madonny, trznadel natomiast wywodzi te same pienia szaro, bezbarwnie, monotonnie. Krwiożercze srokosze metalicznymi piosenkami, z trwogą odpędzają ludzi od gniazd, skrytych w gąszczu pod kwiatami. Sroka wprost przeciwnie. Plotkarka, musi wiedzieć o wszystkim, tedy jej gniazdko na gałęzi nie ma drzwi ani okien, by broń boże, nic nie uszło wścibskiej obserwacji.

„UPIORNE PTAKI ŚMIERCI“

Niemcy najsnadniej lubią obserwować ptastwo pod kątem krwiożerczości, żądzy zaboru, nachalnej rozpychliwości. Wbrew faktom przenoszą na nie istotę swego usposobienia. Nalepiają na ich odzywkach hasła ordynarne. Czajka np. wołająca: czy-jaś-ty? (— stąd zwana w Częstochowskiem „czyjaśką“, w Opolszczyźnie przekręcona na „cybotkę“ —) zmieniła się u Niemców pod Ślężą Górą w prostytutkę, nagabującą przechodniów: geh' mit! Mało tego. Jest ponadto ptakiem śmierci. Do ptaków diabelskich, przynoszących nieszczęście należy nie tylko wrona i kukułka (niech cię kukułka porwie znaczy tyle co: szlakby cię trafił), nie tylko puszczyk, przywykły wszędzie do tej roli, ale nawet rozśpiewany, nikomu nie krzyw — kos. U Niemców ma emaliowaną tabliczkę: Gespenstertier.

Czy to prawda? Spytajcie znakomitych, zaprzysięgłych biegłych w tej dziedzinie, a mianowicie: Adolfa Dygasińskiego, Jana Wiktora, Juliana Tuwima. Wszyscy trzej, każdy na swój sposób, odpowiedzą, że brechta!

Przedzierając się przez tomy tej pedantycznej po niemiecku etnografii ułowiłem niezłą, makaroniczną piosenkę, której echa żywego w terenie dotąd nie znam. Makaronizowany dwugłos miłosny. Usiadła pod drzewem urodzia Opolanka i śpiwa:

Auf der grynen Wize
siedzi zając
und mit zajnen oren
posłuchając.

Kiebych takie oren miała,
tobych tysz tak posłuchała
wi der zając.

Zbliżający się świarny gruchlik wie, co mu odpedzieć wypada:

Auf der grynen Wize siedzi zając
und mit zajnem szwencchen pomyrgając.
Kiebych taki szwencchen mioł,
tobych też tak pomyrgoł, wi der zając.

Nawiązanie bezpośredniego kontaktu z ptasim światem wymaga cierpliwości. Miałem niedawno jej próbę. Kwaterę dostałem w domu, gdzie dawno nikt nie mieszkał. Starczy wychylić się z niskiego, parterowego okna, którego poziom zgadza się w perspektywie z poziomem trawników i lip w parku, rozśpiewanym od świtu po zmierzchy. Rozkosznie rozkrzyczana maskarada, barw i pogwizdów. Brzuszki ognisto podpalane, na granatowych czółkach białe strzałki, znów purpurowe berety i żółte etole na ramionach, słowem profuzja kolorów iście renesansowych, przetłumaczona na wymiar i gust ptasi. Wchodząc do pokoju spostrzegam, że nie jestem tu pierwszy, zdziwionym, wystraszonym okiem zerka na mnie dawniejsza lokatorka, jakaś gajówka siedząca na gniazdku w górnej wnęce niedomykanego okna. Jestem tedy intruzem. Lecz dzięki wzajemnym ustępstwom pogodziliśmy się jakoś, po kilku pierwszych chwilach niepewności i lęku. Jak wielkiego, łatwo pojąć zważywszy, że jej gniazdko z jajkami od mego tapczana dzielą ledwie jakieś 3 metry. Nie znaliśmy się zupełnie z piórek, maści. Jakaś gajówka i tyle. Wchodząc z nagła, poznałem, że lokatorka główna stosuje wszelkie prawem mimikry przewidziane chwyty. Dziobek ostry udaje, że jest gwoździem wystającym z zielonej listwy, gardziołko przywarło do niej tak, żeby dwunóg myślał, że to futryna nie ptak. Ja, rozumiejąc, iż o ruch chodzi, znieruchomiałem w skok w jakąś popielatą plamę. I tak trwaliśmy oboje bez ruchu, oddechu, papierosa, czujnie obserwując się nawzajem. Zrazu starczył krok, by ptaszyna zwiała z gniazdka w popłochu, po tygodniu byliśmy przyjaciółmi, a po trzech stwierdziłem z uciechą, jak troje świeżo wyklutych z jajka żarłoków smyrgnęło z gniazdka w zielonej żaluzji w jasną rozstrzeń pobliskich lip.

Mitrężąc się nad wydobyciem normy zaufania zrozumiałem, dlaczego martwe natury w naszej plastyce operują, o ile o ptaki chodzi, prawie wyłącznie kanarkami lub papugami. Nie tylko dlatego, że plama barwna ptakiem zwana jest o wiele trudniej uchwytna na wolności niż obrus, widelec czy jabłko. Słyszę prawie jakim śmiechem zaryczałby Fałat lub jak syknąłby zjadliwie Wyczółkowski, gdyby im zaproponować pół godziny znieruchomiałości!! Może ktoś zauważyć, że od tego mamy fotografikę. No, tak fotografika jest, ale mody na godziny śpiewające nie ma.

Tadeusz Szafraniec

NOWOŚĆ

Jan Dobraczyński

„Wybrańcy Gwiazd“

powieść (66)

stron 304 zł 800,—

Księgarnia Zdzisław Gustowski

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Wśród czasopism

W Dzienniku Literackim, proszę państwa, burza. Grzmoty i pioruny. Tym razem nie chodzi już o realizm i łży-realizm w literaturze, nie chodzi o filmy polskie, ani o „Dom pod Oświęcimiem", którego w dwóch sążnistych artykułach broni sam autor — proszę sobie wyobrazić, że chodzi o plastykę, przede wszystkim o malarstwo. Burza ta zaczęła się w n-rze 18 artykułem Andrzeja Banacha „Sztuka nieludzka". Na redakcję zwaliła się taka powódź wypowiedzi beształych autora, wychwalających go pod niebiosy i usiłujących łagodnie tłumaczyć, że nie ma on racji, że w n-rze 22-gim zajęły one niemal pięć pełnych kolumn pisma i że redakcja zapowiada ciąg dalszy dyskusji w numerach następnych. Postronny obserwator tej dyskusji odnosi wrażenie, że nastąpiło nagłe wyzwolenie się długo przez przeciwników współczesnego malarstwa tłumionej pasji. Jest to żywiołowy wybuch żółci, która wzbierała już przed wojną u tych, którzy przestali rozumieć malarstwo z chwilą, gdy wyszło ono poza Siemiradzkiego, Matejkę, Wygrzywalskiego, dla których ostatnim kierunkiem, który przyjmowali jeszcze z pewną aprobatą był impresjonizm. A rzecz leży w tym, że artyści twierdzą, jakoby impresjonizm był dopiero początkiem przyszłych dróg sztuki plastycznej, a w szczególności malarstwa, że tam dopiero zaczynają się nowe drogi, po których kroczy sztuka pomimo energicznych protestów ludzi przemawiających w imieniu „szarego odbiorcy" już przeszło pół wieku.

Jeśli powiedziałem, że nie chodzi w tej dyskusji o realizm w literaturze, to nie znaczy to bynajmniej, by na dnie tej gwałtownej wymiany zdań podjętej w *Dzienniku Literackim* nie leżała sprawa realizmu zastosowanego tym razem do sztuk plastycznych. Tym, którzy wnieśli protest przeciwko dzisiejszej sztuce, chodzi bowiem o to, że malarstwo odbiegło od rzeczywistości, że „treść" obrazu nie stoi w zgodzie z tym, do czego przywykło oko patrzące na otoczenie no i na... obrazy sprzed lat pięćdziesięciu, w których wszystko było „podobne do ludzi".

Inicjator tej dyskusji, Andrzej Banach, rozumie rzecz trochę szerzej. W rezultacie jednak domaga się od sztuki konkretnej treści, która budziłaby wzruszenie widza, zaspokajała jego tęsknoty, dawała kształt jego marzeniom, ułatwiała mu „odczytanie tajemniczej księgi świata", „wypełniała niedosyt jego życia". Te postulaty tracą bardzo frazesem. O ile sobie przypominam, w ten sposób pisywano o sztuce przed Witkiewiczem i Sygietyńskim, za czasów Wojciecha Gersona, gdy jeden z największych dętologów literatury polskiej Stanisław Tarnowski jedną ręką pisał rzeczy odsądzające od czci i wiary poezję Wyspiańskiego, a drugą kreślił swoje zachwyty nad Matejką. Ale wiemy, a co chodzi p. Banachowi: sztuka ma być rewolucyjna i patriotyczna, ma sięgać po sprawy najbliższe sercu człowieka („przeciętnego robotnika i inteligenta") i pokazywać mu je tak, by zrozumiał je bez żadnego tłumaczenia z wyjątkiem tego, jakie zawiera się w tytule obrazu (np. „Zwycięska bitwa pod...", „Trud górnika" itp.). Chodzi więc po prostu o malarstwo tematyczne, posługujące się takimi środkami technicznymi, które leżą już całkowicie w granicach konwencji malarskiej spopularyzowanej przez oleodruki i pocztówki.

Nie jestem znawcą sztuki i sam przeżywam niejedno przykre rozczarowanie stojąc przed obrazem, którego nie „rozumiem" ani w ząb i nad którym męczę się bezskutecznie doszukując się w nim tego, co chciał mi artysta przekazać, czym chciał mnie przejąć, wzruszyć czy zachwycić. Sam też niejednokrotnie odchodzę ze złym wzruszeniem ramion od kombinacji trójkątów, która według katalogu oznacza „skrzydła archanioła". Mam jednak wrażenie, że odróżniam błazeństwo (bo i tego nie brak u niektórych naszych plastyków) od wysiłku artysty. I wtedy odchodzę z pokorą i nadzieją, że kiedyś przy dobrej woli odnajdę to, czego szukam, to znaczy odnajdę ideę artysty.

Niemniej jednak ogarnia mnie zawsze szewska pasja na mentorów, którzy nie rozumiejąc obrazu (i nie starając się go zrozumieć), wymyślają malarzom od nieuków, kombinatorów, pięknoduchów (to jest najłagodniejsze) i z emfazą stwierdzają głęboki upadek współczesnej sztuki. Mentorzy ci odwracają po prostu kota w worku. Zamiast szukać winy i braków u siebie, zamiast zacząć przyglądać się malarstwu systematycznie i ewolucyjnie od momentu, w którym zaczęli mieć wątpliwości, przerzucają wszystko na artystę.

P. Andrzej Banach odegrał tutaj rolę takiego mentora pełnego najlepszych chęci i najuczciwszych intencji, mentora operującego nawet pewną wiedzą, ale w rezultacie upraszczającego zagadnienie ostro i niewybrednie. Dobrze się jednak stało, że *„Dziennik Literacki"* artykuł jego wydrukował, jakkolwiek skłonny jestem posądzić redakcję o złośliwość, jeśli na własną rękę podkreśliła intencje autora artykułu przez umieszczenie w nim reprodukcji obrazu Delacroix „Wolność, prowadząca lud". Nie mam zamiaru postponować tego obrazu, lecz myśl, że intencją p. Banacha jest cofnięcie malarstwa do czasów Delacroix jest przerażająca i pomimo wszystkich nieporozumień, jakie ktoś może mieć ze sztuką współczesną, musi wywołać namiętny odruch sprzeciwu. Ujrzawszy tak namacalnie wytłumaczoną myśl autora, tym skwapliwiej zacząłem poszukiwać dobrej reprodukcji „Guernici" Picassa i z rozrzewnieniem zacząłem przypominać sobie widziany niedawno na „wystawie niezależnych" pewien okupacyjny obraz Lenicy.

Dyskusja w *„Dzienniku Literackim"* zarysowuje się w sposób taki, jak należało przewidzieć. W obronie sztuki stają artyści i krytycy, potępiają ją „czytelnicy". Mimo całego współczucia i zrozumienia, jakie można i należy mieć dla ludzi, którzy nie mogą porozumieć się ze współczesnymi malarzami, wypowiedzi „czytelników" są nieprzyjemne. Po prostu przypominają wiele głosów członków Klubów Książki na temat powieści Dygata i Andrzejewskiego. Świadczą o straszliwym zacofaniu, o najzupełniejszym braku obiektywizmu i szacunku dla człowieka sztuki i jego wysiłku, o niesłychanym tupecie w udzielaniu rad, jak należy malować. Obszerne wypowiedzi fachowców: Zbigniewa Florczyka, Władysława Lama, Tadeusza Kantora, Mieczysława Porębskiego, Karola Homolacsa oraz dwóch studentów Akademii Sztuk Pięknych i Wydziału Historii Sztuki są bardzo cenne. Poważnie jednak martwię się tym, czy wszyscy, którzy przeczytali krótki, przyprawiony do przełknięcia jak przysmak artykuł p. Banacha, będą mieli cierpliwość przebrnięcia przez obszerne wywody ludzi, którzy rozsądnie i przystępnie tłumaczą prawa, jakimi rządzi się artysta, oraz uczą rozumieć nowe malarstwo. W każdym razie przeczytanie uważne tych artykułów jest obowiązkiem wszystkich, którzy ulegli sugestii wywodów miłośnika malarstwa Delacroix. Dyskusja *„Dziennika Literackiego"* powinna przynieść dużo pożytku. Obowiązkowo należało by ją zanalizować na godzinach Ośrodków Kultury Plastycznej. Tam może mniej trzeba będzie przekonywać, ale należy skorzystać z okazji dostarczenia argumentów łopatologicznych ludziom, którzy będą potem pracować w „terenie", wśród „szarych odbiorców".

Jeśli dyskusja ta już kogoś bliżej zainteresowała sztuką, polecam lekturę *„Przeglądu Artystycznego"*, którego podwójny numer za kwiecień i maj niedawno się ukazał. Pismo jest organem Związku Artystów Plastyków, ale założenia jego są popularyzacyjne. Rzeczywiście przynosi ono materiał, który zainteresuje każdego, kto nie odnosi się do sztuki obojętnie. Ciekaw jestem, czy miesięcznik ten prenumerują świetlice, domy kultury, kółka artystów-amatorów. Dopóki tego typu pismo nie będzie miało nakładu choćby *„Odrodzenia"*, redakcje nie powinny dopuszczać do wypowiadania się w druku ludzi, którzy uważają się za „szarego odbiorcę sztuki".

Dla przykładu i zachęty zwracam uwagę na najważniejsze pozycje wspomnianego numeru: Marian Eile pisze obszernie o kłopotach scenografa, a Tadeusz Peiper i Wł. Dobrowolski omawiają krakowską wystawę scenografii angielskiej. A na problemie scenografii też możemy się przekonać, jak nisko stoi u nas kultura plastyczna. Krótka i pouczająca jest rozmowa o plastyce z Jarosławem Iwaszkiewiczem. Do rzędu cennych ciekawostek należą wspomnienia sprzedawcy obrazów o Cezannie, Renoirze i Sisleyu, inny wart przeczytania artykuł to omówienie przez Wł. J. Dobrowolskiego — odkrycia nowego Rembrandta. List z Londynu, dyskusja o Ogniskach Kultury Plastycznej, omówienia wystaw i kronika — oto reszta. Czytajcie! (ki)

Rozmowa z Sokratesem

Spotkałem go na Ziemiach Odzyskanych. Szedł drogą wśród pól w kierunku Wrocławia. Na ramieniu niósł przewiązane sznurkiem buty. Spojrzałem na jego stopy: były bose.

Ucieszony tym osobliwym spotkaniem rzuciłem radosne słowa:

— Jak się masz Sokratesie? Co słychać?

— Słychać brzęczenie pszczół i szum wiatru — odpowiedział z podziwu godnym spokojem.

— Pytając co słychać miałem na myśli: jak ci idzie.

— Dziękuję. Idzie się dobrze. Ciepło. Zdjąłem buty bo szkoda ich. Kosztowały dwanaście tysięcy i na drugie takie nieprędko będę się mógł zdobyć.

— Dokąd zdążasz? — spytałem po chwili.

— Zdążam ku wieczności. Tymczasem jednak znajduję się na waszych ziemiach zachodnich.

— Jak ci się tutaj podoba, Sokratesie?

— Powinieneś mnie raczej spytać: co mi się tutaj nie podoba. W pytaniu przez ciebie sformułowanym kryje się już niejako odpowiedź pozytywna i na pytanie: jak ci się tutaj podoba, zapytany odpowiada zwykle: owszem, podoba mi się.

Otóż nie podoba mi się Dzierżoniów. Znasz to miasteczko?

— Nie. Nigdy tam nie byłem.

— Szkoda — zaopiniował Sokrates. Jako człowiek piszący winieneś tam niezwłocznie pojechać. Dzierżoniowianie to ludzie miłujący prostotę. Mianowicie upraszczają sobie życie jak tylko mogą. Wskutek tego nie kopią koło domów dołów na śmiecie ani nie budują drewnianych śmietników. Ot, po prostu wyrzucają śmiecie na ulicę. Gdy tam pojedziesz zobaczysz na ulicach góry śmiecia przypominające swą wysokością wały ochronne na Wiśle.

Zawstydzony nieporządkiem Dzierżoniowa i tym, że w ogóle tam nie byłem, postanowiłem zmienić temat naszej rozmowy. Powiedziałem więc ni w pięć ni w dziewięć:

— Ładną mamy pogodę Mistrzu, co?

— Po pierwsze: nie mów do mnie mistrzu, bo mistrzem nazywa się dziś pierwszego lepszego patałacha z drużyny footballowej. Po drugie: o wiele ważniejsza jest pogoda ducha w człowieku.

— No tak, naturalnie — bąknąłem zawstydzony. Jednakowoż lepiej iść w słońcu niż w deszczu.

— Nie znam niebezpieczniejszej rzeczy niż deszcz słów, którym zalany jest dzisiejszy świat.

— Przepraszam cię Sokratesie — powiedziałem po chwili — że będę skakał z tematu na temat jak pchła z poduszki na poduszkę. Ale chcę wykorzystać to osobliwe spotkanie i zasięgnąć twej opinii o zagadnieniach współczesnego życia. Co sądzisz np. o literaturze? O realiźmie, egzystencjaliźmie?

— Niech ich tam w sądzie okręgowym sądzą. Jako Sokrates powiem ci tylko tyle: nie wywalajcie otwartych drzwi.

— To znaczy? — spytałem wyczekująco.

Sokrates chwycił mnie za rękaw.

— Widzisz ten krzak chwiejący się przy drodze?

— Widzę.

— Wszyscy jesteście jak ten krzak: wydaje wam się, że to wy trzęsiecie światem a to tylko wiatr wami targa i potrząsa.

— Hm... Podrapałem się w głowę nie bardzo rozumiejąc co kryje się w tym porównaniu.

Po krótkim milczeniu spytałem znowu:

— A co myślisz o demokracji?

— O demokracji piszecie w waszych gazetach tak jakby dopiero przez was została ona wynaleziona. A tymczasem demokracja to wynalazek stary. Starszy niż ja.

Sokrates westchnął.

— No a teraz zostaw mnie już w spokoju, młody przyjacielu. Samotność jest mniej dokuczliwa niż ludzie. To powiedziawszy przyśpieszył kroku zostawiając mnie poza sobą.

Stałem pośród drogi patrząc jak się oddalał.

Z daleka widać było kołyszące się na jego ramieniu buty.

JAN KOPROWSKI.

Kolaboracjonista Jeremiasz

Nowa powieść Jana Dobraczyńskiego*) ukazała się jako siódma z kolei pozycja prozy beletrystycznej tego pisarza. „Wybrańcy gwiazd" są przy tym w pewnym sensie powieścią jubileuszową. Taki mały jubileuszek dziesięciolecia pracy pisarskiej a raczej — ściśle mówiąc — powieściopisarskiej, gdyż przed napisaniem „Dwóch stosów" w r. 1938—39 ukazało się już studium Dobraczyńskiego o Bernanosie.

Dobraczyński może narzekać na krytyków, ale chyba nie potrzebuje narzekać na czytelników. Zdobył ich sobie od razu „Rozwalonym domem", który zapowiada się w drugim wydaniu. Zdobył tak, jak przed laty zdobywał Meissner „Szkołą Orląt", Fiedler „Zwierzętami z lasu dziewiczego" czy „Kanadą", Morcinek „Wyrąbanym chodnikiem", a po wojnie Pruszyński pierwszym tomem opowieści. Nazwiska użyte w tym zestawieniu nie są przypadkowe. Wydaje mi się bowiem, że pisarstwo Dobraczyńskiego, mające swoje dodatnie i ujemne strony, niczym nie zasługuje na to, by je recenzenci postponowali więcej i ostrzej niż książki tamtych popularnych beletrystów. Dobraczyński reprezentuje bez wątpienia ten sam stopień średniego pisarstwa, trafiającego dzięki przystępnemu ujmowaniu problemów, posługiwaniu się zasobem środków artystycznych leżących w granicach szeroko już przyswojonej konwencji, do licznych, mniej literacko przygotowanych i nie stawiających wysokich wymagań czytelników. Na temat tego typu pisarstwa dość już u nas po wojnie napisano, by jeszcze tutaj trzeba było uzasadniać jego rolę kulturalną. Dobraczyńskiemu niewielu tylko recenzentów i krytyków próbowało pomóc swoją oceną. Wielu natomiast usiłowało go pognębić. Wielbiciele literackiego prymitywizmu Gałaja, odsądzali od czci i wiary Dobraczyńskiego, który dysponuje talentem nie mniejszym a kulturą pisarską na pewno większą. Przy tym Dobraczyński ma jeszcze jedną zaletę, która wyróżnia go wśród pisarzy tej samej rangi artystycznej: doskonali się i rozwija.

To ostatnie twierdzenie wolno postawić przy okazji omawiania „Wybrańców gwiazd". Tę powieść historyczną, dla której autor sięgnął po temat w czasy na przełomie VII i VI wieku przed Chrystusem, niełatwą w problematyce, czyta się przyjemnie i gładko, przyjmuje się z zainteresowaniem. Postawiwszy ją w skali tych wymagań, jakie stawiamy literaturze tej klasy, o której mowa była powyżej, nie można podnieść przeciw niej poważniejszych zarzutów krytycznych. Porównawszy ją z poprzednią twórczością Dobraczyńskiego, powiedzieć trzeba, że stanowi krok naprzód w pracy pisarskiej autora.

Bohaterem nowej powieści Dobraczyńskiego jest jeden z biblijnych proroków, Jeremiasz, ascetyczny moralista wieszczący upadek Judei i zniszczenie Jerozolimy, świadek tej klęski i domniemany autor trenów na zburzenie świętego miasta. Dobraczyński zachował wiernie te cechy postaci proroka, wzbogacając ją o rysy ludzkie, o ludzką słabość oraz o ludzką miłość do narodu i ojczyzny. Bogata akcja powieści obejmuje przeszło dwadzieścia lat pomiędzy klęską Judejczyków w walce z Egipcjanami pod Megiddo (609) a zburzeniem Jerozolimy przez Nabuchodonozora (r. 586). Tragedia Jeremiasza leży w jego proroczym widzeniu przyszłości. Wynika ona z posiadanej przez niego pewności tragicznej klęski Judei i Jerozolimy. Owa ascetyczna moralistyka Jeremiasza zmierza do odwrócenia karzącej ręki Boga od Judejczyków. I z tego wywodzi się jego — że tak powiem — polityka świecka, polegająca na tym, że ów prorok wieszczący przyjście Chrystusa i żarliwy patriota staje się przyjacielem i gorącym zwolennikiem poganina — Nabuchodonozora, ciemiężcy narodu judejskiego. Dziś powiedzielibyśmy, że Jeremiasz był kolaboracjonistą. Tak zresztą oceniali jego rolę i rodacy. Za to go prześladowali, to chyba w końcu spowodowało jego męczeńską śmierć z ich rąk. Jeremiasz widział w osobie władcy Babilonu narzędzie Boga, widział tego, który wykona najwyższy wyrok na plemieniu Judy. Ale mimo całej pewności tej klęski nieuniknionej starał się ją odsunąć, wybłagiwał coraz to nową zwłokę. Nabuchodonozor nazwał to u niego próbą oszukania Boga, w którego Jeremiasz wierzył. W tym właśnie wyraża się najsilniej ludzki patriotyzm Jeremiasza. Można powiedzieć, że Jeremiasz prorok walczy z Jeremiaszem Judejczykiem. Można powiedzieć, że Jeremiasz podejmuje zapasy z Bogiem o ocalenie swego narodu.

To jest główny nurt „Wybrańców gwiazd". Nurt ciekawy i piękny. Dobraczyński umiał ten wątek rozwinąć, umiał go uczłowieczyć, postawić w realne ramy uprawdopodobniając metafizykę. Jako pisarz katolicki wyprowadził „politykę świecką" Jeremiasza z jego religii i proroczego widzenia przyszłych rzeczy świata. Stąd powieść ta staje się powieścią o świętym kolaboracjoniście. Problem delikatny i niebezpieczny. Przenosić go w czasy dzisiejsze nie można. Jeremiasz był realistą politycznym i chyba nawet bez swego proroctwa musiałby postępować podobnie w tej sytuacji, w jakiej znalazła się Judea pomiędzy Babilonem a Egiptem.

„Wybrańcy gwiazd" są tradycjonalistyczną, na wypróbowanych wzorach literackich opartą powieścią historyczną. Trzeba przyznać że Dobraczyński poradził sobie z szeroko rozplanowaną w miejscu i czasie akcją, że mu się materiał historyczny nie rozprószył na epizody. Całość ubarwiona jest przepisowo nawet nie banalnie potraktowanymi wątkami miłosnymi, sytuacjami niezwykłymi i przeróżnymi efektownymi zbiegami okoliczności według zasad szkoły powieściopisarskiej sprzed lat kilkudziesięciu. Myślę, że można było jeszcze skorzystać z innej zasady tej szkoły i dokładniej, pełniej podmalować tło historyczne; przenieść po prostu część posłowia w tekst powieści. Kraszewski robił to naiwnie, ale bardzo dobrze. Dobraczyński potrafiłby bez wątpienia uczynić to bez przeciążenia narracji powieściowej historią.

Styl i język książki jest gładki, ale budzi miejscami korektorskie zastrzeżenia. Dobraczyński zdoła go chyba jeszcze z tych usterek oczyścić. *Zdzisław Hierowski*

*) Jan Dobraczyński: Wybrańcy gwiazd, powieść. Księg. Zdz. Gustowskiego, Poznań, 1948, str. 302.

Autorzy numeru

— JINDRZICH SPACZIL — współczesny powieściopisarz czeski, autor wielu powieści o tematyce psychologicznej i społecznej. Fragment wyjęty z najnowszej jego powieści „Atrzije sniem", związanej tematycznie z wypadkami roku 1848.

— ALEKSANDER BAUMGARDTEN — poeta i dramaturg repatriowany ze Lwowa na Śląsk. Autor tomów poezji „Usta na kamieniach" i „Arkusz Śląski".

— PAWEŁ BAŻOW — współczesny pisarz radziecki.

— JAN KOPROWSKI — poeta i publicysta, autor dziewięciu tomów wierszy i satyr, nadto wydanych nakładem Związku Polaków w Niemczech 1946 „Wierszy zebranych". Osiadł w okolicy jeleniogórskiej.

Historia Niemców

(Dokończenie ze str. 3)

wnętrzno-polityczne zdruzgotanie kultury przez nacjonalsocjalizm przerzucono w dziedzinę polityki zagranicznej. Nadludzie nietscheańskiej ideologii zrodzili nadpartię, ta zaś stała się wyrazem woli stworzenia Nad-Rzeszy. Tak nacjonalsocjalizm spowodował największy kryzys w historii niemieckiego narodu".

V.

Książkę swą zamyka Valentin rozdziałem o „niemieckim charakterze narodowym". Raz jeszcze powtarza to co mówił na wstępie o wewnętrznym rozdarciu, o dualiźmie, o mieszaninie etnicznej i myślowej. W jego opisie wojny, poprzedzającym rozdział ostatni, brak, mimo słów potępienia, całej grozy i całej potworności czynów niemieckich w czasie II-iej wojny światowej. Czy zabrakło mu odwagi, czy też nie wierzył, pisząc swą książkę w ostatnich miesiącach wojny, w prawdziwość faktów i w konieczność zapisania ich w „Historii Niemców" trudno osądzić. — I choć książka ta odbiega o tysiące mil od dotychczasowej historiografii niemieckiej, trudno uznać mi ją za prawdziwie odważną rewizję niemieckiej przeszłości.

Jest to „Historia Niemców" napisana przez Niemca dla Anglików i Amerykan. Wyczuwa się poprostu, jak każde zdanie obliczone jest na mentalność anglosaską. Ta „Historia Niemców" nie jest mimo wszystko dla Niemców. Dla Niemców, którzy by wstrząśnięci historyczną prawdą zrozumieli swoją drogę ku ludzkości, która obejmuje i Zachód i Wschód.

Edmund Osmańczyk

Centralny Ośrodek Kulturalno-Oświatowy Centralnego Związku Zawodowego Górników w Sosnowcu ogłasza:

KONKURS LITERACKI

na materiał barburkowy pt. „Nowa Barburka".

Rodzaj literacki: inscenizacja, obrazek sceniczny, recytacje zbiorowe, wiersze, utwory całospektaklowe z oprawą muzyczną itp.

Warunki:

1. **Utwory muszą być związane ze świętem górników i zawodem górniczym w oparciu o współczesne prądy społeczne.**
2. **Rozmiary prac powinny być przystosowane do trwania w ramach półtoragodzinnej akademii w dniu 4 grudnia.**
3. **Za najlepszą inscenizację, obrazek sceniczny, utwory całospektaklowe z oprawą muzyczną itp. przewiduje się 5 nagród pieniężnych: I nagroda zł 30.000, II nagroda zł 20.000, III nagroda zł 15.000 i 2 nagrody po zł 10.000, za prace wyróżnioine. Za najlepszą recytację zbiorową, wiersze itp. przewiduje się: I nagroda zł 20.000, II nagroda zł 15.000, III nagroda zł 10.000.**
4. **Prace nagrodzone i wyróżnione zostaną wydane drukiem i autorom przyznane zostanie normalne honorarium autorskie.**
5. **Termin nadsyłania prac upływa dnia 15 sierpnia 1948 r.**

Prace należy zaopatrzyć godłem a nazwisko autora (wraz z adresem) przesłać w zaklejonej kopercie na adres: Centralny Ośrodek Kulturalno-Oświatowy CZZG w Sosnowcu, ul. Żytnia 10, z dopiskiem „Konkurs barburkowy".

Skład jury podany zostanie w późniejszym terminie.

Komitet konkursowy, na wypadek gdyby prace zgłoszone nie zdobyły pierwszych trzech miejsc, zastrzega sobie prawo rozdziału nagród według własnego uznania.

·CZYTELNIK·

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

·OMNIBUS·

Biblioteczka Niepróżnującego Próżnowania

WITOLD TASZYCKI
1
JAK KOBIETA W NIEWIASTĘ SIĘ PRZEOBRAZIŁA
str 15 / zł 15

HENRYK SZARSKI
2
JAK ROŚNIE PAZNOKIEĆ
str 15 / zł 15

KAZIMIERZ GUMIŃSKI
3
JAK ZWAŻONO POWIETRZE
str 31 / zł 15

KAZIMIERZ GUMIŃSKI
4
CZY NATURA JEST PRZEKORNA
str 31 / zł 15

ADAM KULCZYCKI
5
TAJNIKI SERCA LUDZKIEGO
str 29 / zł 15

KAZIMIERZ GUMIŃSKI
6
ILE CZŁOWIEK ZJADA WĘGLA
str 30 / zł 15

W związku ze zbliżającą się setną rocznicą zgonu Fryderyka Chopina przypadającą w roku 1949, P. P. „Film Polski" pragnie uczcić pamięć geniusza narodu polskiego przez realizację pełnometrażowego filmu, osnutego na tle Jego życia i twórczości.

P. P. „Film Polski" w porozumieniu z Komitetem Wykonawczym Roku Chopinowskiego (1949) ogłasza międzynarodowy konkurs na nowelę filmową, która mogłaby się stać podstawą do opracowania scenariusza długometrażowego filmu, przeznaczonego zarówno dla Polski jak i zagranicy.

P. P. „Film Polski" liczy na pełne zrozumienie wagi podjętego zadania i zaprasza do udziału w konkursie pisarzy, muzyków i wielbicieli wielkiego kompozytora.

1. Konkurs jest otwarty, dostępny dla wszystkich.
2. Uczestnikom konkursu pozostawia się pełną swobodę w wyborze rodzaju utworu filmowego (może to być film biograficzny, bądź oparty na kilku fragmentach w życiu muzyka, film osnuty na tle muzyki Chopina itp).
3. Nowela o objętości nie mniej niż 30 stron maszynopisu, winna zawierać :
   a) streszczenie akcji z uwzględnieniem węzłowych elementów dramaturgicznych.
   b) dokładnie opracowaną charakterystykę głównych postaci.
   c) kolejność zasadniczych scen i partii dialogowych.
   Nowela winna być utworem oryginalnym, a nie przeróbką istniejącego dzieła literackiego lub teatralnego.
4. Jury konkursowe składać się będzie z:
   przedstawiciela Min. Kultury i Sztuki
   „ Komitetu Wykon. Roku Chopinowskiego (1949)
   „ M. S. Z. (Departament Prasy i Informacji)
   „ Zw. Zaw. Literatów
   „ Zw. Zaw. Kompozytorów
   „ Zw. Zaw. Realizatorów Filmowych
   oraz 3 przedstawicieli P. P. „Film Polski".
5. W wyniku oceny prac konkursowych Jury przyzna 3 nagrody:
   I-sza 300.000.— zł.
   II-ga 200.000.— zł.
   III-cia 100.000.— zł.
   Jury zastrzega sobie prawo innego podziału niezmienionej sumy nagrody między wyróżnionych uczestników konkursu.
6. Wszystkie nagrodzone prace stają się własnością P. P. „Film Polski".
7. P. P. „Film Polski" nabywa prawo przeniesienia nagrodzonej noweli filmowej na film dźwiękowy, zastrzegając sobie prawo wykorzystania jej w całości lub części.
8. P. P. „Film Polski" rezerwuje sobie prawo zakupu nienagrodzonych prac (honorarium na nowelę wynosi 75.000.— zł.) i wykorzystania poszczególnych części, pomysłów, scen partii dialogowych zakupionej noweli.
9. P. P. „Film Polski" zastrzega sobie, iż następne etapy pracy mogą być wykonane przez innego autora (scenariusz literacki, scenopis ittd.).
10. W wypadku powierzenia autorowi noweli rozpracowania scenariusza, spisana zostanie oddzielna umowa.
11. Ogłoszenie nagrodzonej lub zakupionej pracy drukiem, względnie opublikowanie jej w innej formie (teatr, radio) może nastąpić tylko za zgodą P. P. „Film Polski".
12. Prace należy nadsyłać anonimowo w zapieczętowanej kopercie z napisem „Konkurs Chopinowski" na adres: Warszawa, Puławska 61, Biuro Programowe Naczelnej Dyrekcji Filmu Polskiego. Koperta i pierwsza strona maszynopisu winny być zaopatrzone w godło. W drugiej załączonej i zapieczętowanej kopercie o tym samym godle należy podać imię i nazwisko autora.
13. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1 września br.
14. Prace będą rozpatrywane w miarę nadsyłania.
15. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone w prasie dnia 15 października 1948 r.
16. W sprawach dotyczących umów z autorami nagrodzonych i zakupionych prac obowiązywać będzie Ustawa o Prawie Autorskim i Konwencja P. P. „Film Polski" ze Związkiem Autorów i Kompozytorów Scenicznych „ZAIKS". (67)

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, ul. 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowska 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcji nie wraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253.— Prenumerata mies. 60 zł. kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12. Tel. 30973 wewn. 08. R 18142

Krótkie spięcia

Temat wyssany z palca

Czy istnieje wpływ literatury na życie...? Naturalnie, że istnieje! Weźmy na przykład taką sprawę psów. Psy, jak wiadomo, muszą — z uwagi na swe mniej lub bardziej przyjazne stosunki z człowiekiem — posiadać imiona. No trudno, człowiek już tak zazarządził i basta.

Otóż, gdyby tak ktoś chciał teraz zbadać, kto wśród właścicieli i właścicielek psów cieszy się największą popularnością jako pisarz, dowiedziałby się, że ani żaden Brandys, ani żaden Pruszyński, ani żaden Rudnicki, ani żaden Iwaszkiewicz i tak dalej i dalej, tylko ciągle i wyłącznie — Curwood.

Co decyduje o wyborze takiego czy innego imienia dla psa? U nas niestety decyduje szablon i prymitywizm. Psy nazywają się na ogół okropnie. Imiona ich są zupełnie bez fantazji i polotu i nie zawierają w sobie żadnych elementów twórczych. Ciągle jakieś „Pikusie", „Azory", „Lordy" itd. Aż chce się wyć.

Dlaczego? Dlatego, że nikt o psach nie pisze. Psy w naszej literaturze są zupełnie negliżowane. A wskutek tego Curwood triumfuje. Jego sławetny „Barry, syn Szarej Wilczycy" przyczynił się do tego, że u nas co drugi niemal tzw. wilczur (którym to mianem określa się po prostu owczarki alzackie) no i nie wilczur nosi imię „Barry" (wymawiane zresztą jako „Bari", tak jak to miasto we Włoszech). „Barrych" jest, można śmiało powiedzieć, jak psów i z każdym dniem tych „Barrych" przybywa, co dowodzi z jednej strony popularności Curwooda, z drugiej zaś braku fantazji.

Niewątpliwie, gdyby któryś z naszych autorów wprowadził do swojego — jak to się mówi — tworzywa beletrystycznego psa i nazwał go jakimś efektownym imieniem, miłośnicy psów natychmiast by to imię przejęli i rozpowszechnili.

A autor byłby poczytny, jak wszyscy diabli.

Wprawdzie zrobił to już raz Sienkiewicz ze „Sabą" („W pustyni i w puszczy"), ale „Saba" się nie przyjął, ponieważ dla przeciętnego Polaka „Saba" jest rodzaju żeńskiego i nadaje się tylko dla suczek.

Odwrotnie natomiast jest z nazwą „Juno", którą spotyka się wśród psów jako imię męskie. Biedna Junona!

Konkludując więc ten nieco chaotyczny felieton, dochodzimy do następującego wniosku: Tylko literatura wprowadzi nam jakieś urozmaicenie wśród psich imion! A gdy to się stanie, nareszcie znikną „Pikusie", „Lordy", „Azory" itd. oraz przedstawiciele nomenklatury „Barrych", których stanowczo jest za dużo, natomiast zaczną się pojawiać takie jakieś uczciwe, a pełne fantazji imiona, jak „Ogórek", „Nikodem", „Rabarbar", „Mięsopust", „Monopol" itp.

A może wreszcie, gdyby tak ktoś jeszcze chciał poczytać Homera, zjawiłby się ku pamięci wspaniałego psa Odyssa — cudny „Argos"...?

Niejaki X.